CENA 20 ZŁ

W numerze: Gustawa Morcinka „Gente Silesius"



Odra
tygodnik





NUMER 32 (141) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 8 SIERPNIA 1948 ROK IV

JAN BARANOWICZ

Pocztówki morskie

Pani Marii Rycerzównie

1. Darłowo

Darłowo, morskie miasto, posąg ma rybaka
na rynku, wytyczonym według praw Lubeki.
Gryf z herbu rybi ogon w chłodzie rzeki macza.
Miejska brama bociani dom dźwiga i wieki.

Uliczki biegną prosto jak lip szpaler świeży.
Nie skrzywiły ich łuny ani dawne bitwy.
Kościół kuszę gotyku napina i wieży
strzałą płoszy obłoki, przelotne rybitwy.

Piastów stołb, wiking śmiały, w muzeum się zmniszył;
pielęgnuje w gablotkach czaszki i dziryty.
Nad budynkiem Zarządu łaciński tekst w niszy: —
„Flore, civitas!" — Kwitnij, w Rzeczypospolitej! —

2. Ulica Wenedów w Darłowie

Na ulicy Wenedów gaj cieniów się wiedzie.
Lilla z dramatu tańczy z siostrą w kręgu luny.
Od morza dmie wiatr słony. I swojsko na redzie
pląsa pieśń fal, co kwitną biało jak jastruny.

To tutaj kiedyś konał lud w drapieżnym getcie.
Z urn, które zmełł na popiół czas jak kamień żaren,
budzą się zamku majstry, rybacy i kmiecie,
by łączyć swą słowiańskość z marynarskim gwarem.

Mgłą obcości horyzont jak obłok się odął —
Teraz wolno po rynku snuć się i w takt skakać
w gospodzie z żołnierzami, co w ślad za swobodą
ćwiekami na podłodze rzeźbią krakowiaka.

3. Port w Darłówku

Ufam mej wyobraźni, która port twój równa
do frunącej od lądu, płowopiórej mewy.
Jezioro w skalnym molo — to jej smukła kibić,
dwie zatoki to skrzydła, rozchwiane jak śpiewy.

Mroczną wodę ma kanał a drewniane burty;
i most zwodzony, co w pół łamie się, gdy z morza
syreną sternik smagnie, pilotując cudzy
szkuner w przystań po węgla ciężar i smak zboża.

Tramwaj wodny do miasta wczasowiczów wozi,
elewatory sławiąc, doki i ogrody.
Brzuchate kutry drzemią na cumach przy brzegu
przed wyprawą na dorsza na bornholmskie wody.

4. Połów bursztynów

A bursztyny się zbiera, gdy wieje nord-west
i niesforne bałwany koronką się śnieżą.
Wtedy trzeba świtaniem jak na grzyby leźć
i boso, by uprzedzić tych, co w łóżkach leżą.

Trzeba schylać się ciągle aż zaboli kark
i drewienkiem jak kura grzebać w żwiru treści.
I po dnie jak płastuga spojrzeniem wśród alg
czołgać się, walcząc z falą, co chłosta i pieści.

Potem usiąść na piasku, nogi zagiąć w łęg
i z kieszeni ułowku na dłoń natrząść prężną —
I czoło ubrać w podziw, myśl ciepłą i lęk,
że siwe tysiąclecia w kamykach tych grzęzną.

5. Posłanie

Już dni stygną jak woda w bałtyckiej zatoce.
Na kształt rzęs cień na oczach rozściela się warstwą.
Morskich latarń migoty, co budziły w noce,
jak ptaki fruną w ciche wspomnień gospodarstwo.

Więc tylko pozostało jakiś skrawek wczasów
rozpamiętywać i deszcz, co z wiatrem się żenił;
i brunatne bursztyny, strząsane z hałasu
fal jak śliwki z gałęzi o wczesnej jesieni.

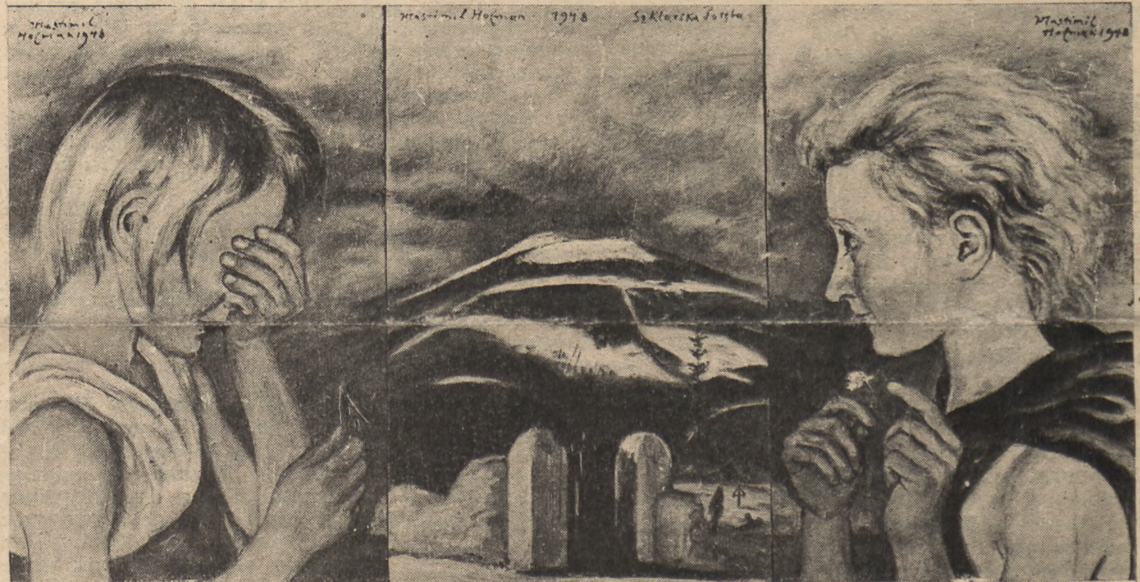
Daleko szumi morze, ciągle sztormów głodne,
malowane zielenią, błękitem i ochrą —
Daleko mieszka przyjaźń, do której, gdy chłodnę,
podbiegam sercem gwarnym jak bełt przed falochron — —



Artysta na Ziemi Przemienienia

Vlastimil Hofman, osiadłszy na Ziemiach Odzyskanych w Szklarskiej Porębie, ustawicznie tworzy nowe dzieła. Dom jego na lesistym stoku przy ulicy Matejki powoli staje się w Szklarskiej Porębie tym, czym dla Niemców był tu dom Hauptmanna. Hofman bierze żywy udział w wydarzeniach artystycznych całej Polski, 67-letni artysta czyta całą prasę literacką, cieszy się nowymi talentami tak w literaturze jak i w malarstwie. W sztuce swej kontynuuje dawną swą linię ideową. Już pojawiają się w jego obrazach i rysunkach nowe motywy krajobrazowe. Dwa jego ostatnie obrazy (zob. poniższe reprodukcje) to ilustracja tryptykowa do Króla Ducha oraz tryptyk „Pod górą Przemienienia".





PAWEŁ KUPKE

Ozdoba i miłość

W mrocznej sali węglowej migocą światełka. Z światła wyłaniają się cyfry. Cyfry głoszą minione lata trudu. Ściany wyłożone rybnickimi brykietami są przytulne i miękkie. W tej sali, chłodnej i sklepionej wysoko jak przodek „Andaluzji", czuje się wyraźnie jak pachnie węgiel. Starzy górnicy od dawna twierdzą, że mogą poznać węgiel po zapachu. Wejście z pełnej światła i pastelowych malowideł salki do tej mrocznej i wysokiej bani potwierdza starą górniczą teorię woni węglowej. Minęliśmy rozłożyste drzewo Śląska, z Katowicami i Wrocławiem jako ramionami, podtrzymującymi szeroką i bujną koronę. Minęliśmy krużganki pełne historycznych wspomnień, czerwone parawany i fantastyczne konstrukcje zniszczenia, grające ekrany i białe posągi, złożone, zda się, z samych muskułów. Stoimy w sali węglowej, zapatrzeni w migocące cyferki. Zapisujemy je do notesu nieświadomie, pewni jednak, że staną się one tematem rozmyślań:

Eksport węgla z Polski i ze Śląska, należącego do niedawna jeszcze do Niemiec:

1938 — 13,4 mil. ton
1946 — 15 mil. ton
1947 — 19,3 mil. ton

W roku 1949 cyfra urośnie do 31 mil. ton, w roku 1951 zaś do 40 mil. ton.

Wierzmy cyfrom. Na nich buduje świat swoją przyszłość. Gdy czytamy angielskie pisma gospodarcze z ostatnich miesięcy, wyczuwamy na każdej stronicy zainteresowanie dla naszego węgla, dla jego cyfr. To samo przy każdej okazji objawia stuttgarcka „Wirtschaftszeitung", którą trudno posądzić o sympatię dla Polski, która jednak ma sympatię dla polskiego robotnika i musi przyznać, że dokonane przez niego dzieło godne jest najwyższego szacunku i uwagi. Profesor Huegel pisze tu nawet o „zrywie, którego powodów należałoby poszukać w duchowych przemianach robotnika polskiego". Pisze zatem trafnie ów niemiecki profesor.

Plastyczne komentarze Wystawy wrocławskiej, w jakiejkolwiek znaleźlibyśmy się sali, w jakimkolwiek pawilonie, przemawiają do nas najlepiej. Jest zatem Wystawa wrocławska idealnym kompendium współczesnego życia polskiego, ilustruje dzieje odbudowy i pracy.





Na dziedzińcu wejściowym, pod 3 łukami rozmawiają robotnicy ze Śląska i rybacy mazurscy. Dogadali się szybko, znaleźli wspólnych znajomych i jakiegoś wspólnego drania, urzędnika, który przerzucił się na drugi koniec Polski. Czekają na kierowników swych grup, którzy mają ich oprowadzić po korytarzach i salach Pawilonu Czterech Kopuł. Przysłuchujemy się ich rozmowie, rozkoszując się słońcem, notujemy ukradkiem beztroskie uwagi. Na tym samym miejscu wczoraj widzieliśmy grupę zachowującą się zupełnie po mieszczańsku i wypowiadającą swe uwagi mniej więcej tak: Wspaniałe, cudowne, fantastyczne! Już wiemy, Prus takich nazywał polewaczkami, bo polewają słowami obficie i wodniście. Nasi robotnicy i rybacy myślą inaczej. Zainteresowała ich Hala Ludowa, ale nie jako kolos architektoniczny, bo wtedy by trzeba oddać sprawiedliwość budowniczym niemieckim, którzy ją tu postawili, lecz jako obiekt odbudowany, naprawiony i oszklony. Jeden z robotników śląskich był tu przed dwoma laty. Mówię wam, referuje z uśmiechem, co tu nie było, woda lała się do środka, szyb ani rusz, wiatr gwizdał, a jeszcze chodzili ludzie i wybierali co się dało.

Oto różnica, jakże cenna, w pojmowaniu obiektów wystawowych. Tamci jak turyści, ci jako współtwórcy. Nie mam nic przeciwko zubożałej inteligencji miast, ale niechże się już nie odróżnia tym dziwnym, fałszywym, patetyzującym sposobem patrzenia na świat i jego cuda. Żadne dzieło nie jest wynikiem jakiegoś metafizycznego zdarzenia, jak nie powinno być powodem metafizycznych zachwytów. Cudowna jest cyfra, która określa człowieka całego, która nie jest martwą literą, która mierzy krew i pot i nieprzespane nocne godziny i ugięte w słońcu plecy.

Już znowu Odra, zmieniwszy swe koryto, przepływać zaczęła przez serce polskie. Ktoś już to powiedział. Teraz Odra płynie krużgankami pawilonów wystawowych. Modele statków i mostów, cała ta skomplikowana anatomia żeglugi widoczna jest na papierze, drzewie, w stalowych misternych konstrukcjach. Z początku ceniliśmy Odrę jedynie jako element uczucia, jeszcze jednego w geografii uczuć narodowych. Powoli pojawiała się świadomość gospodarczego znaczenia rzeki naszych przeznaczeń. Pierwsze blade wiersze o Odrze niosły z sobą już pewne przeczucia, zapowiedzi wielkiego renesansu tej polskiej rzeki. Deklamowane na akademiach prowincjonalnych miasteczek wzruszały jedynie jako wyraz pewnego, nowego zachodniego patriotyzmu. Ale już ekonomiści, inżynierzy i robotnicy, rzucając okiem na nędzne wierszyki podrzędnych poetów — bo wielcy woleli nadal pisać o alpejskich kaskadach — obliczali wysokość gruzu na dnie, długość spiętrzonych bezładnie mostów, pustkę w nadbrzeżnych portach. Z łódek, chybocących się na falach, wysuwano długie żerdzie, które zgrzytały o potopione cielska barek i stateczków,. nie rzadko o rzucone do rzeki maszyny portowe, skrzynie z towarem, wozy wojskowe. Odrę pokrył beznadziejny gruz wojny. Dno trzeba oczyścić, a na brzegach pobudować nowe domy i naprawić połamane fabryki, oto rozkaz, jaki padł po pierwszym przymierzu z rzeką.

Dzisiaj przymierze ma już szersze, dojrzalsze oblicze. Dziś rzekę naszych przeznaczeń, rzekę pokoju nazywamy także już rzeką pojednania. Stanie się ona taką, gdy wody jej połączą się z wodami Dunaju, gdy kanał Odra — Dunaj przetnie krainy czeskie i zaprowadzi równowagę gospodarczą i komunikacyjną w tej słowiańskiej części Europy.

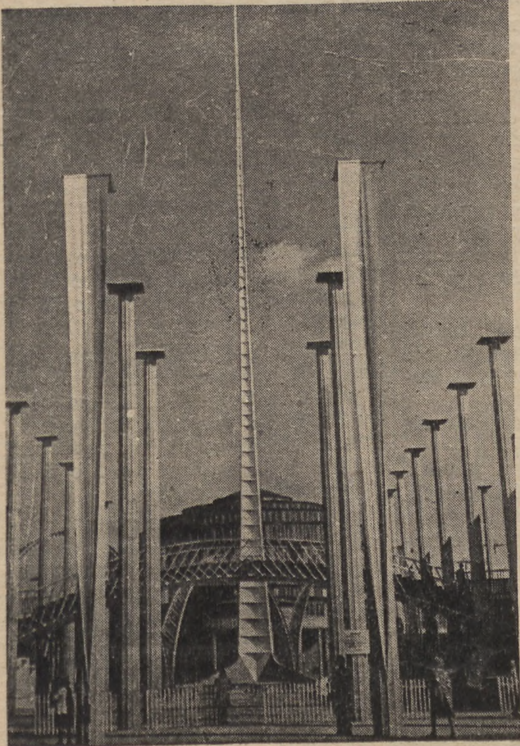
Galeryjka na wysokości I piętra pozwala nam obserwować plastyczną mapę Polski. Jesteśmy w szkole pracy dla Polski. Wielkie słowa pasują doskonale do tej ogromnej sali, w której rośnie pszenica, co dzień rano podlewana dłonią urodziwej pracownicy, w której granice Polski opasane są światłami, a na obliczu mapy światła wskazują kierunek pracy, kierunki odbudowy, kierunek przyszłości. Spokojna to ziemia, powtarzamy za średniowiecznym kronikarzem, krówki chodzą po pastwiskach i lasy czernią się wokoło, pełne zwierza i bogobojnych ludzi. Polska, widziana z wysokości naszej galeryjki, wygląda zupełnie tak samo, choć już lasów nie wiele widać, a ogromne łysiny po wyrębie wieków i wojen pokrywają nowe pastwiska, pola urodzajne, sady i sadyby, miasta i fabryki. Obraz nie zmienił się jednak. Jest to obraz spokoju, a światła, otaczające granice przypominają spokój i beztroskę odpustowej karuzeli. Tak jednak nie jest. Państwo ma swoje troski. To tylko na tej mapie plastycznej wszystko wygląda tak beztrosko, barwnie, odpustowo niemal. Zresztą nie szkodzi. Taki bowiem jest kierunek przyszłości. Obchodzimy galeryjkę, schodzimy w dół, spływamy między ludzi, którzy posilają się i patrzą. Jest na co patrzeć.

Znowu upał praży policzki, ciernowa korona promieni słonecznych wpija się w głowę. Ale otóż i wąskie korytarze, które wiją się wokół Hali Ludowej, opasając potężny świetlisty brzuch, napełniony w tej chwili tysiącami ludzi odpoczywających, słuchających muzyki, komunikatów, zawierających znajomości, domagających się lodów, które tu są coraz smaczniejsze. Pod ścianami kwiaty, doniczki mają świeżutką ziemię. Tylu ludzi przechodzi, a jeszcze nikt nie odważył się rzucić niedopałka między kwiaty. Jest jednak jakaś świętość w tym wszystkim, atmosfera nabożna, nie pozwalająca na sztubackie czy karczemne wybryki. Ze ścian patrzą napisy, słońce odbija litery raz jeszcze na odstającej ścianie. Cień tworzy nowy akcent. Dwa sztandary powstańcze wspaniale zwisają u powały. 25 lat temu haftowały je dziewczyny śląskie w Rozbarku lub Raciborzu, dobierały jedwabnych nitek, odmierzały skrzydła orła i długość napisów. Nie ma różnicy między ich miarą a miarą, z jaką pomocnicy malarscy w przeddzień otwarcia Wystawy obiegali ściany i wmontowywali aktualne polityczno-gospodarcze wersety. Rozkazy powstańcze pisali wówczas prości górnicy. Teraz oglądamy je z większą czcią niż oglądać będziemy za lat 25 utwory literackie niejednego z wybitnych współczesnych pisarzy.

Zresztą są i pisarze. Mało ich. Fotografie ukazują oblicza ludzi młodych i zaciętych. To dobrze.

Ale dlaczego jest ich tak mało? Policzcie ich, nie ma ich nawet pięćdziesięciu. Mapka Ziem Odzyskanych jest tu wyjątkowo pusta, małe punkciki giną w ogromie przestrzeni. Jest kącik książki. W porównaniu z innymi stoiskami za skromny. Należało raczej w każdym kąciku każdego

(Dokończenie na stronie 2)



Fotografia na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu ma szczególne zadania do spełnienia. Trzeba będzie zapamiętać w sposób artystyczny motywy wystawowe, tak bardzo „fotogeniczne", jak widzimy z zamieszczonch tu zdjęć, by mogły one później służyć jako ilustracje do książek, które w ten czy inny sposób mówić będą o odbudowie i rozwoju Ziem Odzyskanych. W chwili obecnej zaś fotografia wystawowa spełnia ważne zadanie propagandowe, zachęcając do zwiedzania Wystawy, informując o wydarzeniach na terenie Wystawy, głosząc jej piękno na łamach pism zagranicznych. „Odra" w okresie trwania Wystawy zamieszczać będzie zdjęcia wystawowe, których autorami będą najlepsi nasi artyści-fotografowie. Powstanie w ten sposób antologia zdjęć wystawowych, która uzupełni w sposób naturalny i potrzebny opisy, sprawozdania i imresje.

Fot. H. Makarewicz



Co robią Niemcy?

Czy Francuzi są jeszcze w Berlinie – Amerykanie przeciw Amerykanom – Literat nie jest zawodem

Czy są jeszcze Francuzi w Berlinie? Oto pytanie, które zadajemy sobie wszyscy, czytając doniesienia prasowe z Berlina, dyskutując nowsze wydarzenia bitewne z tego prawdziwego placu boju. Wprawdzie w okręgach Wedding i Reinickedorf pojawiają się jeszcze limuzyny z francuskimi komendantami, zaś w okręgu Frohnau Niemcy wciąż jeszcze spoglądają tęsknym okiem na ocalałe wspaniałe wille, zajęte przez Francuzów, ale poza tymi jedynymi chyba faktami życia nie widać Francuzów w Berlinie, a zwłaszcza nie widać ich w polityce, w bitwie. Ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, że dwaj doradcy gen. Koeniga, dyplomaci de Saint-Hardouin i Seydoux, przeniesieni zostali z Berlina do Baden-Baden. Francuzi znikają z Berlina po cichu, od dawna już rezygnując z jakiejś własnej okupacyjnej polityki w tym mieście. 1 kwietnia władze sowieckie zarządziły stałą kontrolę wszystkich pociągów, udających się lub wracających ze stref zachodnich. Władze anglo-amerykańskie w odpowiedzi na to wstrzymały ruch pociągów. Francuzi początkowo nie protestowali przeciw wprowadzonym kontrolom, później dopiero, z pewnością na życzenie władz anglo-amerykańskich, wstrzymali ruch kolejowy, decydując się na transporty omnibusowe. Odtąd jednak transport francuski zamiast jednej kontroli, zatrzymywany jest po drodze sześć lub siedem razy, celem dokonania kontroli. Każdy podróżny, który w Wannsee wsiadał do omnibusu, musi poddać się najpierw kontroli francuskiej, w Mariendorfie czeka nań kontrola sowiecka, w Helmstedt — angielska. Na granicy belgijskiej kontroli dokonują raz jeszcze na życzenie władz angielskich urzędnicy niemieccy, po czym następuje kontrola belgijska. I potem na granicy jeszcze raz wchodzą do omnibusu Belgowie, wreszcie umęczonych podróżnych wita kontrola francuska już na ziemi francuskiej. Oto „korzyść", jaką odnieśli Francuzi, rezygnując z własnej polityki.

Wślad za takimi drobnostkami, które jednak dość już napsuły krwi podróżnym francuskim, wynikają rzeczy przykrzejsze, chwile, w których waży się przyjaźń aliancka. Przyznać trzeba lojalnie, że ustępujący na wszystkich polach Francuzi ustępują także w grubiaństwie. Znany wypadek z dnia 16 czerwca, a więc z owego dnia, który przypieczętował los Komendantury Alianckiej, wypadek jaki zaszedł między wytwornym generałem Ganevalem a grubiańskim pułkownikiem Howleyem jest wymownym przykładem na to, jak przyjacielscy anglo-amerykańscy alianci traktują swych sprzymierzeńców francuskich. Generał Ganeval był owego pamiętnego wieczoru przewodniczącym Rady. Pułkownik Howley siedział naprzeciwko generała, z nogami założonymi na stole. Grupa była malownicza, ów elegancki i kulturalny generał i rozparty po amerykańsku pułkownik. W pewnej chwili pułkownik nie prosząc przewodniczącego o pozwolenie, wstał i wyszedł. Na usprawiedliwienie niejako powiedział jedynie: Co zaś mnie dotyczy, to idę teraz spać! Ganeval chciał ratować sytuację, oświadczając głośno, że pułkownik Howley uzyskał był pozwolenie na opuszczenie sali, ale 60 osób, obecnych na zebraniu, nie mogło w to uwierzyć.

Są jeszcze Francuzi w Berlinie? — pytają się wszyscy interesujący się życiem politycznym na terenie Niemiec. Fakty wskazują, że znikają oni z horyzontu Berlina coraz szybciej, że wkrótce już tylko pozostaną nazwiska francuskie wśród członków Rady Alianckiej, jakie uprzejmy generał na okrasę i parę inteligentnych pań do towarzystwa grubiańskich pułkowników amerykańskich. W taki sam gwałtowny sposób znikają Francuzi z kulturalnego horyzontu Berlina. Jeszcze przed rokiem Berlin żył francuską sztuką, teatrem i literaturą. Teraz amerykańskie pieniądze propagują sztukę gorszą, ale i krzykliwą. Już się to zresztą nie spodobało pracownikom kulturalnym Berlina. Oto dyrektorzy scen berlińskich i wschodnio-niemieckich ogłosili list otwarty do postępowych amerykańskich pisarzy dramatycznych, w którym skarżą się na trudności, jakie władze amerykańskie czynią przy sprowadzaniu utworów pisarzy postępowych, ułatwiając natomiast sprowadzanie sztuk, których żadną miarą nie można zaliczyć do rodzaju postępowych. List jest zaadresowany dokładnie do Lilian Hellmann, Clifforda Odetsa, Arthura Millera, Alberta Malza i Irwina Shawa. Istnieje cenzura — czytamy we wspomnianym liście — co prawda maskowana pozorami natury formalno-prawnej, jak np. rozliczeniami tantiemowymi itd. Nie możemy zrozumieć, dlaczego trudności te istnieją w takim stopniu przy sprowadzaniu Waszych utworów, a nie ma ich przy sprowadzaniu utworów innych autorów. Jeśliby jednak one miały istnieć rzeczywiście, to mamy nadzieję, że Wy, jako autorzy dzieł posiadających wysokie wyczucie i moralne cele, nie pozwolicie na pozbawienie nas szczególnej przyjemności oglądania Waszych cennych sztuk jedynie ze względu na trudności tantiemowe. Jakie nam możliwości ukazania narodowi niemieckiemu oblicza Ameryki postępowej i demokratycznej oraz jej wolnościowej literatury!

Wspomniani autorzy postępowej Ameryki znaleźli się już w planach repertuarowych scen berlińskich. Ponadto z ogłoszonych w dziennikach propozycyj repertuarowych poszczególnych teatrów zanotować warto w Deusches Theater Juliusa Haya „Mieć", Goethego „Fausta" część I, Rostanda „Cyrano de Bergerac". W teatrze Kammerspiele proponują poza Clifforda Odetsa „Ci, którzy czczą życie", Szekspira „Miarka za miarkę", Lessinga „Emila Galotti", Federico Garcii Lorci „Krwawe wesele" i Sternheima „1913". Okres kanikuły odwrócił jednak trochę uwagę od teatru. Przyczyniła się do tego także reforma walutowa, która spowodowała zupełny zastój sytuacji finansowej. Mimo to teatry berlińskie nie zamykały swych podwoi, w Deutsches Theater szły sobie spokojnie dalej „Wilki i owce" naprzemian z Romeem i Julią, molierowskim Świętoszkiem i Kapitanem z Köpenick. Większą jednak sensację w tym okresie wzbudził nowy film niemiecki produkcji DEFA p. t. „Kopalnia Morgenrot". Jest to film współczesny o kopalni, która będąc kiedyś własnością robotników, potem wymknęła im się z rąk, a dziś znowu przeszła na własność ludu. Nazwa kopalni może zostać pomyślana symbolicznie, a może po prostu scenarzysta chciał przypomnieć utracony Górny Śląsk (Morgenrot to w nomenklaturze niemieckiej nazwa Chebzie, osada górnicza na dawnej granicy niemiecko-polskiej).

Na koniec słowo o sprawach literacko-zawodowych. Otóż pocieszmy się, koledzy po piórze, narzekającym na stosunek władz do literatów, zwłaszcza władz prowincjonalnych, że przygoda, jaka spotkała niemieckiego pisarza, Kasimira Edschmida, zamieszkałego w Ruhpolding, nie jest na terenie Niemiec jedyna. Otóż burmistrz tego miasteczka odmówił Edschmidowi poświadczenia wykonywanego zawodu, gdyż, jak oświadczył, literat nie jest żadnym zawodem. Gazeta niemiecka, notując wypadek, dodaje z westchnieniem: Oto, jak giną sny postępu w tumańskich głowach, głupich łbach...

WISZ

DEUTSCHE!

Die Befehle der alliierten Militärtyrannen sind unser Unglück und Verderben!

Das uniformierte Halunkenquartett des Kontrollrates ist uns zum Peiniger und Blutsauger geworden!

Hand in Hand mit jenen Schurken arbeiten ihre pseudodeutschen Kumpane und Henkersknechte vom Schlage eines Pieck, Grotewohl, Högner und Auerbach. Politische und kriminelle Verbrecher beherrschen heute unser Vaterland! Wir sind zum Tummelplatz von Juden und Niggern, von polnischen Straßenräubern und Strauchrittern geworden.

Willkür, Sklaverei, Gesetzlosigkeit und Hunger sind dem deutschen Volke von einem erbarmungslosen Gegner ins Land getragen. Es ist der Wille des Feindes, diesen Zustand zu verewigen!

Deshalb Deutsche

Sabotiert die Anordnungen der Besatzungsmacht!

Bawaria wciąż nie umie sobie poradzić z problemami denazyfikacji i wychowania narodu. Bałagan, jaki panuje w tej dziedzinie, sprzyja działalności różnych faszystowskich grup podziemnych. Oto ulotka, kolportowana masowo na terenie Bawarii, nawołująca do sabotowania zarządzeń władz okupacyjnych. Kto nie umie okiełzać wiatru, musi zaczekać na burzę ...

A oto treść ulotki: Niemcy! Rozkazy alianckich tyranów wojskowych są naszym nieszczęściem i zniszczeniem. Umundurowany hultajski kwartet Rady Kontrolnej stał się dla nas czwórką dręczycieli i krwiopijców! Ręka w rękę z owymi łotrzykami idą ich pseudoniemieccy kompani i pomocnicy katowscy w rodzaju Piecka, Grotewohla, Högnera i Auerbacha. Ojczyznę naszą opanowali dziś polityczni i kryminalni zbrodniarze! Staliśmy się miejscem igraszek Żydów i Murzynów, polskich rabusiów ulicznych i rozbójników. Samowola, niewolnictwo, bezprawie i głód — oto co wniósł w kraj nasz bezlitosny przeciwnik. Wolą wroga jest uwiecznienie takiego stanu! Dlatego Niemcy, sabotujcie rozporządzenia władzy okupacyjnej!

Ozdoba i miłość

(Dokończenie ze strony 1)

pawilonu, w każdym wolnym miejscu wśród kwiatów ustawić stoliczek, a na nim wyłożyć parę książek. Dużośmy bowiem napisali już na temat Ziem Odzyskanych. Główna zasługa zaś należy się uczonym, pracownikom naukowym. Oni za swoje wyjątkowo mizerne honoraria najuczciwiej i najpracowiciej przeżyli tematykę Ziem Odzyskanych. Literaci ciągle jeszcze kuszeni są łatwiejszymi zarobkami, łatwiejszymi tematami. Literatom nie „czuć" na Wystawie. Cichy zakątek w krużganku Hali Ludowej nie roztacza nawet tej atmosfery, która należy się literaturze jako sztuce. Czyja to wina? Chyba samych pisarzy. Wszędzie natomiast widzimy uczonych, ich wiedzę, ich ręce i wskazówkę. W przeddzień otwarcia Wystawy uganiał się tu jeszcze jeden z wrocławskich profesorów, w białej kurtce, z rozchełstaną koszulą. Na rusztowaniach siedzieli w kucki zapoceni plastycy i wodzili pędzelkiem po niesfornych, wilgotnych ścianach. Uczony nosił portret Kopernika. Malarze nieśli w oczach mieszaninę barw, łokcie mieli pomalowane na fioletowo, choć wyjątkowo mało tu też farby. Za to literatów nie było wcale. Czyja to wina? Może ich samych?

Pochwalili już wszyscy strzelistą iglicę. Pochwalili trzy hale, mistrzowskie mosty nad dziedzińcem i kopalnię na wolnym powietrzu i huk maszyn w sali przemysłu ciężkiego. Pochwalili Wystawę, bo godna jest pochwały i zwiedzania. Godna zachwytu. A przede wszystkim godna zmierzenia cyfrą, która najlepiej umocni nasz ogromny wysiłek naszego pokolenia, dokonany na Ziemiach Odzyskanych i w zbudowaniu owej Wystawy, ich symbolu i trzyletniego bilansu.

We Wrocławiu już pewnie grają hejnał. Warto wsiąść w wagon i pojechać na rynek, do gołębi, warto otworzyć ręce, ścierpłe od gniecionego nerwowo ołówka. Na Wystawę wciąż płyną samochody, tramwaje, gromady ludzie. „Uświadczmy pracy naszej" powiedział Staszic, uświadczmy jej, a będzie naszą ozdobą i miłością. Kłębowisko maszyn, budynków, plastycznych wizji i ludzi zlewa się w jeden obraz. I ten właśnie obraz jest naszą ozdobą i miłością.

Wystawa trwa!

Wystawa trwa!

Wystawa trwa! Oto jest nasze serdeczne zawołanie do ludzi, mieszkańców Ziem Odzyskanych.

Paweł Kupke.

Korespondencja

„Smak soli"

Do łaskawej wiadomości p. Jarosława Rogali, autora artykułu pt. „Smak soli", umieszczonego w nrze 29 „Odry" z 18 bm. przesyłam sprostowanie (wyłącznie w imię prawdy historycznej) jego wiadomości podanej przy końcu tegoż artykułu (str. 3) w nawiasie, jakoby Wieliczka (kopalnia i warzelnia soli) odkrytą została w XIII wieku.

Otóż twierdzenie to nie jest historycznie ścisłe, albowiem Kazimierz Odnowiciel w przywileju z roku 1044 przy zakładaniu opactwa benedyktynów w Tyńcu nadał temuż opactwu pewną ilość soli warzonej i kamiennej w Wieliczce (Magnum Sal) i w Siedlisku — prawdziwość tego przywileju z roku 1229 papież Grzegorz IX stwierdził, a Bolesław Krzywousty również opactwu między in. darowiznami nadał — ad Magnum Sal quattour targowe et quattour tabernee z czego wynika, iż Wieliczka w tym czasie była już co najmniej osiedlem targowym, jeśli nie miastem na prawach polskich powstałym, no i miała co najmniej quattour tabernae"! wiz.

W czasie najazdu Tatarów w roku 1241 Wieliczka (miasto) zostało spalone, przy czym historia wymienia ją między najznaczniejszymi miastami polskimi obok Krakowa, z uwagi na niezwkłą wagę, jaką Wieliczka miała dla skarbu książęcego, później królewskiego aż do rozbiorów.

Ten wiek XIII — to chyba z legendy o św. Kindze, odnoszącej się do kopalni w Bochni, również i co do tej kopalni tylko legendy, gdyż istniała ona przed przybyciem św. Kingi do Polski, jak świadczą znów przywileje klasztoru w Staniątkach.

Dr Tadeusz Bierczyński
(Wieliczka)

GUSTAW MORCINEK

»Gente Silesius«

W numerze 25 „Odry", w artykule pt. „Pożegnanie", oraz w nr 191 „Gazety Robotniczej" w artykule pt. „Awans literacki Śląska" pióra Zdzisława Hierowskiego znalazły się wypowiedzi, które pragnąłbym omówić na łamach „Odry" ze względu na ich stronnicze i krzywdzące stanowisko autora wobec pisarzy, opatrzonych przez niego szyderczym stempelkiem „gente Silesius". Autor oceniając ujemnie tak zwany regionalizm śląski u pisarzy polskich ze Śląska, użył charakterystycznego zwrotu w swym artykule „odrzańskim", że „regionalizm śląski nabierał niektórych cech separatyzmu".

Zarzut ów jest przede wszystkim krzywdzący. I niesłuszny!

Nigdy bowiem regionalizm śląski, popierany i propagowany przez samego Zdzisława Hierowskiego w okresie międzywojennym, nie przekształcał się w separatyzm. Przeciwnie — separatyzm zwalczał jako objaw renegactwa i zdrady wobec sprawy polskiej na Śląsku. To, co Zdzisław Hierowski nazywa „separatyzmem", było raczej niechęcią do tych wszystkich ptaków niebieskich, którzy zlatywali się na Śląsk Cieszyński i Górny w okresie międzywojennym w charakterze i w roli nieudolnych misjonarzy, niemrawych kolonizatorów, przemądrzałych mentorów i śmiesznych naprawiaczy, a którzy swymi metodami pracy i sposobem życia i bycia zrażali do siebie ludność miejscową i jej przedstawicieli, gdyż byli raczej szkodnikami w pracy nad utwierdzaniem polskości na tej ziemi, aniżeli jej pomnożycielami. Ludzie ci podejmowali się pracy u nas z gotowymi już schematami, wypróbowanymi przez „panie z białego dworku" na innych ziemiach polskich, na takim Polesiu czy Białorusi, z tym typowym poklepywaniem po ramieniu, z tym akcentowaniem swej niesłychanej szlachetności serca i ckliwości, przejętych z wierszy Konopnickiej, z tym drażniącym roztkliwianiem się nad naszym rzekomym zacofaniem narodowym i kulturalnym. Byli też misjonarze, którzy uważali, że oni dopiero rozpoczynają dynastię „mężów opatrznościowych" na zaniedbanym terenie Śląska, że przed nimi była tu szara masa, ciemna i jeszcze raz ciemna„ i że dopiero oni zapoczątkują erę narodowo-świetlaną. Byli to mocno spóźnieni „odkrywcy Ameryki" i ludzie, którzy uwzięli się wybijać dziurę w otwartych drzwiach, przejęci głęboko godnością swej misji i narodowego posłannictwa, jacyś mistyczni „czterdzieściczterzy". Byli potem śmieszni szerzyciele oświaty dla maluczkich, wujaszkowate pajace narodowe, przeróżne okpiświaty, kombinatorzy, spekulanci i pyszałkowie, byli doradcy miłosierni, radzący mi na przykład, bym zmienił swoje nazwisko na piękniej brzmiące dla ucha, gdyż „gdyby pan miał inne nazwisko, byłby pan popularniejszy w Polsce!"... Przybłąkały się do nas różne rozbitki i bankruty życiowe, przedstawiciele zdeklasowanej warstwy ziemiańskiej o wspaniałych nazwiskach, z herbami rzezanymi w kamieniu na grubym pierścieniu, podający mi łaskawie dwa palce na przywitanie w towarzystwie; były zramolowane mamuty arystokratyczne, ucząc nas rzekomego demokratyzmu i abecadła kulturowego, przeróżni Bęc-Walscy z dzisiejszego „Przekroju", ludzie zastanawiający się głęboko, czy podać rękę robotnikowi lub zaprosić szofera do stołu, ludzie czujący do mnie towarzyską abominację za to, że witam się z „piękną rzeźniczanką", lub że nad ich towarzystwo przedkładam towarzystwo inżyniera górniczego, który pochodzi z rodziny szewskiej; wałęsali się po Śląsku przeróżni radcowie ministerialni i starzejące się dziewice z wysokich sfer towarzyskich, „robiących w kulturze", a którzy i które traktowali przechodzących chłopów śląskich „chamami" i odzywali się do starych gospodarzy przez „ty"; rozbijały się samochodami różne prezesy Rad Nadzorczych z koncernu górniczego czy hutniczego, strzepujący z odrazą niewidoczny pyłek ze swego ubrania, gdy w natłoku wypadło im otrzeć się o robotnika czy babę wiejską, siedzącą w towarzystwie swego syna inżyniera w loży teatru cieszyńskiego; byli przybysze, którzy głowili się ciężko nad tym, czy zaprosić kierownika szkoły na towarzysko-narodowy five o'clock, gdyż „to tylko nauczyciel"; byli różni wydrwigrosze narodowi i zafajdani patriotnicy wymachujący papierowymi chorągiewkami biało-czerwonymi i gadający z emfazą o wysoko wzniesionych sztandarach, o ostatnich kroplach krwi, o nie oddaniu ani guzika Niemcom i innych bzdurach; byli niemrawi szczekacze i gładcy frantowie, złodziejaszkowie, kasiarze i rzezimieszki, słowem była to ogromna pomylona gromada, która zasługiwała na to, by Ślązak traktował ją z pogardą czy chociażby tylko z niechęcią.

Lecz to nie był ani separatyzm ani „niektóra cecha separatyzmu"!

To nie był separatyzm choćby już dlatego, że równocześnie z owymi niepodarzonymi mamlasami i histrionami zaroił się Śląsk wielu, bardzo wielu ludźmi szlachetnymi, wspaniałymi, mądrymi, zacnymi, którzy przyszli tutaj ze wszystkich stron Polski i którzy chcieli i umieli się zżyć z tym trudnym do zżycia się regionęm polskim. Z tych pięknych ludzi — a był i jest ich ogromny legion — ani jeden nie powie, że spotkał się z separatyzmem śląskim w stosunku do siebie czy w ogóle do polskości.

Jeżeli niechęć ta, przezwana przez Zdzisława Hierowskiego niesłusznie separatyzmem czy „niektórą cechą separatyzmu", objawiała się u robotnika śląskiego w formie zbyt jaskrawej, nie można formy tej dopatrywać się u inteligencji śląskiej, a tym samym u pisarzy polskich ze Śląska. Wprawdzie Zdzisław Hierowski pisze o owej niechęci u pisarzy polskich ze Śląska, nazywając ją enigmatycznie „zaściankową i trywialną w swych formach polityką literacką", lecz Bóg mi świadkiem, że o niczym takim nie słyszałem, ni nic takiego nie widziałem. W okresie międzywojennym było nas tylko trzech takich pisarzy, a mianowicie Paweł Kubisz i Adolf Fierla na Śląsku czeskim i ja, Gustaw Morcinek, na Śląsku cieszyńskim. Wymieniony bowiem przez Hierowskiego Ludwik Kobiela był człowiekiem gołębiego serca, zmarł w czasie wojny, napisał tylko tylko jeden tom opowiadań pt. „W żabim kraju", a Ludwik Łakomy — jak mnie swego czasu zapewniał, pochodził z Zagłębia Dąbrowskiego. Owi dwaj wymienieni nie mogli przeto prowadzić „zaściankowej i trywialnej w swej formie polityki literackiej". Paweł Kubisz i Adolf Fierla byli zaś wtedy członkami Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Czeskim Cieszynie, a więc za granicą, ja znowu członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie.

Przypuszczać więc należy, że owa niepochlebna apostrofa Zdzisława Hierowskiego pod adresem nas trzech pisarzy polskich na Śląsku posiada raczej wydźwięk bardzo prywatny i wywodzi się z jakichś również prywatnych animozji czy nieporozumień między nim a jednym z owych pisarzy.

Jeżeli tak jest, uważam że to nie jest gra zbyt „fair play", gdyż zdezorientowany czytelnik wspomnianych artykułów Zdzisława Hierowskiego nabiera ponurego przeświadczenia o wartości moralnej i zawodowej nas wszystkich trzech Ślązaków.

Zdzisław Hierowski pisze dalej („Awans literacki Śląska" w „Gazecie Robotniczej"), że „usiłowano tu i ówdzie wprowadzić (na Śląsku) podział pisarzy pod względem pochodzenia przy tendencji do uważania tych, którzy na Śląsku osiedli i ze Śląska nie pochodzą, za pisarzy drugiej klasy".

I tego zjawiska nie zauważyłem. Jest to raczej jakiś typowy objaw kompleksu wzajemnej nieufności, która charakteryzuje katowickie środowisko literackie. Przeciwnie bowiem — my pisarze polscy ze Śląska zawsze radowaliśmy się szczerze, gdy pojawiła się u nas Zofia Kossak, Pola Gojawiczyńska, Włodzimierz Żelechowski, Janina Zabierzewska, zżymaliśmy się, że bzdury pisał Ludwik Łakomy o literaturze polskiej na Śląsku i o „Volksdeutscherze" Brücknerze, lub gdy nieprawdę pisał Zaniewicki w swej powieści pt. „Oberschlesien".

Radowaliśmy się szczerze Gołbie za jego obrazoburczych „Młodzieżowców" i niemniej „wywrotowych „Rekrutów", których wygnano ze sceny katowickiej w okresie sanacyjnym, radowaliśmy się Zegadłowiczowi za jego „Pieśń o Śląsku", uważając go za naszego opiekuna i nauczyciela, „drapieżnego wujka z Gorzenia", byliśmy radzi ekscentrycznemu awangardziście cieszyńskiemu Julianowi Przybosiowi, literackiego nieba pragnęliśmy przychylić Helenie Moskwiance-Fikowej z Pszczyny, zabierającej się z uporem do twórczej pracy, zdumiewaliśmy się cywilnej odwadze Haliny Krahelskiej za jej „Zdradę Heńka Kubisza", a o „matkującej" nam Zofii Kossak i o Poli Gojawiczyńskiej, chadzającej własnymi drogami śląskimi, już nie wspominam, bo łacno posądzonoby mnie o panegiryk.

Podobnie radujemy się dzisiaj młodemu Widerze z jego pastelowymi wierszami, seniorowatemu Szewczykowi, zapalczywemu „Ślązakowi" Bednorzowi, jak również i sfinksowemu Józefowi Brzozie o zagadkowym uśmiechu Mony Lizy, szlachetnemu w słowie i wytwornemu Baumgardtenowi ze Lwowa czy rozbrajającemu w swym geście „enfant terrible" Nachtowi-Prutkowskiemu. Radzi jesteśmy, że mocno zżywa się ze Śląskiem „piastowski" i trochę zamknięty w sobie Jan Baranowicz, że we Wrocławiu zadomowił się piszący piórem flaminga Wojtek Żukrowski, a chwały i splendoru literackiego życzymy szczerze Edmundowi Osmańczykowi, patronującemu Ziemiom Odzyskanym wraz z odkrytym Rafałem Urbanem spod Nysy, wspaniałym „autentycznym i autochtońskim grafomanem śląskim" — jak sam siebie nazwał z przekąsem czy z goryczą za zbyt pochopnie ferowany wyrok o jego twórczości przez Hierowskiego.

Nie masz więc i nie było u pisarzy polskich ze Śląska owej nawet iskierki „separatyzmu", o którą nas tak szpetnie pomawia Zdzisław Hierowski, nie było owej „zaściankowej i trywialnej w swej formie polityki literackiej", a o co nas również nieoględnie pomawia, lecz mogły być najwyżej jakieś prywatne nieporozumienia, osobiste porachunki, niewyżyte kompleksy nieufności, przesadne mniemania o własnej nieomylności i jakaś osobliwa żabia perspektywa, znana mi z pobytu w obozie koncentracyjnym, która stawała się powodem, że drobne nieporozumienie między dwoma przyjaciółmi urastało do znaczenia niesłychanej krzywdy czy zbrodni. I wtedy owi dwaj najlepsi przyjaciele stawali się dla siebie śmiertelnymi wrogami.

A co do owego zarzutu Zdzisława Hierowskiego, że „polityka literacka na Śląsku stosowała własne kryteria oceny i stwarzała własne wielkości bez oglądania się na normy obiektywne, obowiązujące każdego pisarza w Polsce" — i tu zachodzi nieścisłość, jeżeli nie zła wola, gdyż kryteria te na Śląsku ustalali dla nas krytycy: Jesionowski iRęgorowiczowa, a poza Śląskiem krytycy takiej miary jak Czachowski, Tretiak, Gruszecka i Kołaczkowski.

Na tych wyjaśnieniach kończę swój przydługi artykuł w skromnej nadziei, że może przyczyni się w jakikolwiek sposób do rozładowania wzajemnych niedowierzań i niechęci w katowickim świecie literackim.

GUSTAW MORCINEK.

STEFANIA WIERZEJEWSKA

* * *

to linia
którą mam w sobie
do której
tęsknię
chwyć mnie
u nasady dłoni
i szeptaj jeszcze:
ach
jak może niebo urastać
w tej pełni
dlaczego zdziwienie dojrzałam
na dnie twej źrenicy
ty jeszcze nie pojmujesz Gry wielkiej
że ptak i kwiat
i listek
jednocześnie pochyliły się w lot
jak wiatr
i pulsu mego nie rozumiesz
Zatroskany
gubiąc się w jego rytmie
szalone twe zmysły
plątają się w wstążce mej sukienki
słuchaj: Dzień
nowe głoski życia
rozruszały się gołębie u wież
tak samo parują małe chatki
przylepione do mchów
mówisz: biedz za motylem
tyle tchu
potrzebował ranek
aby mnie porwać
powietrze zakręciło w nosie
nową roztęczoną przestrzenią
w takim fragmencie
tylko śnić:
ręce z gliny
oddalają od wizji
jutro będą prawdziwsze
i poco te łzy
Niziutki
ja tkałam dziś ponad dachami

Gwiazdę
nie pytaj o jej imię
(zobaczysz
ona już kłuje w czubkach mych palców,
dech mój płynie w nią
uważaj
twoi synowie będą wolni
a moje ciało zniszczone
wyciśnięte
odpadnie
dla chciwych dżdżownic
Cieszmy się
mały dyrektorek
na ręku ma swe wszystkie sprawy
z Nazwiskiem
ale ludzie
rozumieją z nich tylko niektóre —
innych nie chcą
niewiedzą że
Tak się narodził — Tak żył
NIE WIEDZĄ
W ręce Paragrafy
takie ciasne bo
ŻADNA sprawa się w nich nie zmieści
NIESPRAWIEDLIWE
i cóż: kochą swą sekretarkę
Musiał wejść w Swój nowy świat
jest wciąż tylko tym samym
Dyrektorem Tak i Tak
małe pieski nie szczekajcie piskliwie:
z tyłu inne psy skubią wam portki
bronicie przed nimi sprawy Takiej Samej
nie wiedząc:
Paragrafy Nas nie rozumieją
„Paragrafy dla nienarodzonego człowieka
którego zrodzi racjonalna dyspozycja yx"

BRONISŁAW KRETOWICZ

Siejba pod

Pod znakiem Lwa mieli Kwiatkowscy rozpoczynać siejbę. Wypadało w czwartek.

Już całą środę trwały przygotowania.

Stary dziadek rzetelnie czuwał, by się wszelkiej tradycji stało zadość. Niczego nie zapomniał, niczego nie przeoczył.

— A czyś nie zabaczył — mówił do syna — zakopać w polu drzazgi z drzewa, w które piorun uderzył bo inaczej chwasty i osty zagłuszą nam zboże, że cała praca się zmarnuje?

— Nie, nie, ojculku — pomiętałem o tym dobrze. Już przed dwoma tygodniami będąc w lesie przypomniała mi się ta drzazga, gdym przechodził obok sosny, którą łońskiego roku piorun nad jeziorem roztrzaskał, więc odłamałem sporą szczepkę. A było akuratnie w czwartek, więc zaraz wieczorem zakopałem ją w polu, jak należy.

— Czy aby o zachodzie słońca?

— O samym zachodzie. Już większa część za lasami była schowana.

— Joo... jooo... to dobrze, chwasty nie zdolą wyrosnąć. No i mówisz, że to było na pewno w czwartek?

— Na pewno w czwartek, ojczulku, bo inaczej bym nie zakopywał.

Na pierwszy ogień szedł groch, co do którego szczególniej należało zachować wszelką ostrożność, gdyż w ogóle rzadko się udawał.

— Groch musi się udać, bo jeszcze w dzień Nowego Roku sporom go ugotowała na intencję, żeby plon był dobry mówiła Dorota, przyglądając się, jak w spichrzu parobczak Grajewski przepuszczał nasienie przez piastę koła, ażeby zabezpieczyć pole grochowe od mącznej rosy.

— To już za jedno i ziarno bobu trzeba będzie przez buksy przepuścić — zwrócił się Walter do Grajewskiego, który kończył już procedurę z grochem.

— A dyć to po raz pierwszy widzę coś podobnego — dziwił się parobek.

— Widzisz po raz pierwszy, za to teraz będziesz wiedział sekret, czemu u nas groch i bob lepiej się udaje, niż u was w Polsce. Trzy razy trzeba przez spodnie przepuścić — koniecznie.

— Kto tam może temu uwierzyć — nie mógł się nadziwić.

— A jeszcze wiedz, iż bobu w żadnym razie nie wolno siać w tym dniu tygodnia, w którym spadł pierwszy śnieg.

— Do diabła! Co ty robisz, Grajewski? — rzucił się naraz Walter odpychając służącego od stołu, na którym ten chciał położyć worek z grochem. — Albo to nie wiesz, że jeżeli tylko ziarno siewne na stole położysz, to nie wzejdzie — i wyrwawszy worek z rąk parobka stawiał go na ziemi.

— Pierwszym raz tu u was „na Saksach", to wszystkich waszych porządków jeszcze nie znam — tłumaczył się uległym głosem, w obawie, by nie stracić pracy.

— Musisz się nauczyć jak najprędzej, bo więcej będziemy mieli przez ciebie marnacji, niż pożytku.

— Joo... joo... U nas mądre porządki, z dawien dawna ustanowione — wyjaśniał grózek. — Bacz tylko. Nie należy nikomu nasienia sprzedawać, dopóki się własnego pola nie obsiało, inaczej wraz z ziarnem odstąpisz swe błogosławieństwo. Nie wolno również podczas zasiewów pożyczać ognia, gdyż urodzaj wypadłby zły. To samo byłoby gdyby w tym czasie wyrabiano ług z popiołu i prano bieliznę — rozumiesz?

Rozumiał i nie rozumiał, dziwił się, głową kręcił, ale już nic nie mówił, bojąc się niebacznym słowem urazić chlebodawcę.

Wieczór się zbliżał, należało się spieszyć.

— Przygotoj zawczasu płachtę do siewu — przypomniał grózek.

Syn wyciągnął z kufra, gdzie była starannie pod kluczem schowana, i rozpostarłszy przed sobą, uważnie rozglądał.

— Stara już... miejscami się rozłazi. Na ten rok pewno jeszcze wytrzyma, ale na przyszły trzeba będzie starać się o nową.

— Znowu kłopot niemały — turbował się grózek. — Płachtę winno utkać dziewczę nie żegnane, gdyż tylko takie przynosi błogosławieństwo. I trzeba jej strzec, jak oka w głowie, i nikomu nie pożyczać za nic, bo inaczej oddałbyś swe błogosławieństwo.

— Trzeba będzie zaraz po siejbie o tym pomyśleć, zaraz po siejbie...

— A kiedy zamierzasz siać? Jutro rano, czy też już w nocy — badał staruszek przezornie. — Bo to widzisz, w nocy pewniej nikogo nie spotkasz, więc nikt nie zagada, a i siać można rozebrawszy się do naga, bo nikt nie widzi, a wtedy urodzaj murowany. Joo... joo... więc jak uważasz?

— Chyba jutro o świcie, bo w ciągu dnia porządnie się zmęczyłem. Widzieliście, roboty niemało. A postaram się nikogo na drodze nie spotkać, będę dobrze uważał.

— Joo... joo... to już jutro..,

Wyszli ze spichrzu na podwórze.

— Słonko ślicznie zachodzi, będzie ładna pogoda, jak raz do siewu.

— Daj Boże, daj Boże — przytakiwał młody.

Spożyli prędko wieczerzę, pogwarzając coś niecoś leniwie o jutrzejszych siewach, gdyż wszystkim rychło było do poduszki, jako że wstać wypadało jeszcze przed świtaniem.

Istotnie, zaledwo tylko świt począł się wsączać do izby popielatą mgławicą, już wszyscy byli na nogach.

Parobcy pośpiesznie zaprzęgali konie do wozów, na których już z wieczora były poukładane brony i worki z grochem, klnąc przy tym z cicha, gdyż w półmroku trudno było zmacać tą lub inną przynależność uprzęży.

Tymczasem w izbie zastanawiano się nad tym, w jaki sposób uczynić zadość uświęconemu zwyczajowi, który wymagał, by przed sianiem całe pole obeszła niewiasta, albowiem gospodyni nagle zachorowała w nocy, że się zawlec do łóżka nie mogła. Jęczała srodze

JERZY ZAGÓRSKI

Z Lens do Międzylesia (IV)

W tym kraju bocian nie lęka się ludzi

Z pozoru repatriacja kosztuje nas bardzo drogo. W istocie jest finansowym samograjem. Od czasu, gdy frank oficjalnie liczy się realniej (nie po 84 grosze, lecz po złoty osiemdziesiąt sześć), nikt z repatriantów nie stara się wwozić dewiz prywatnie, lecz je oficjalnie zamienia i państwo uzyskuje wiele dewiz doraźnie, nie mówiąc o wartości mienia, które wwożą i o sile, którą przedstawiają.

W zamian za ułatwienia repatriacyjne Francja uzyskała korzystne klauzule w traktacie handlowym z nami, dla nas zaś przenoszenie polskiej siły roboczej z Francji do Polski ma dalej idące korzystne konsekwencje polityczne.

1. Wzmagamy naszą siłę w stosunku do Niemiec.

2. We Francji powstaje ludzka pustka, którą Francja będzie starała się zapełnić importem siły roboczej z Niemiec. Odpływ robotników z Niemiec do Francji osłabi siłę Niemiec. Nasza siła w stosunku do Niemiec wzmaga się przez ten kierunek migracji.

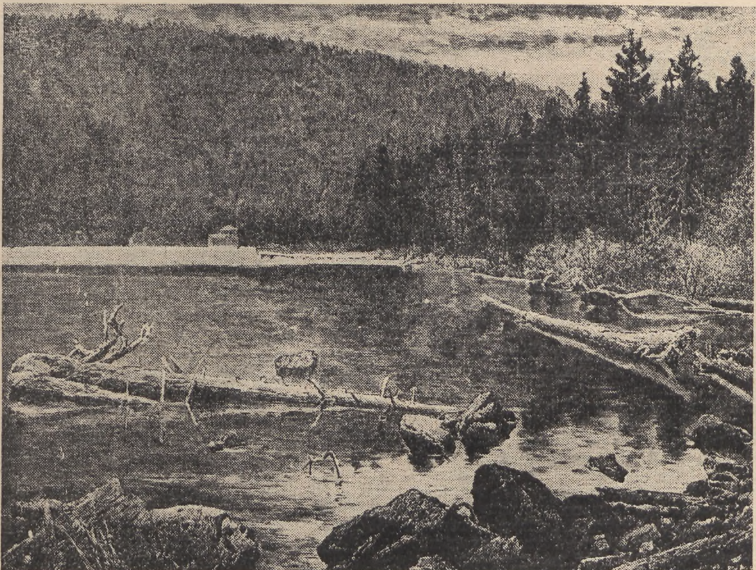
3. Siły Francji w drodze zastąpienia ludzi odjeżdżających do Polski sprowadzanymi z Niemiec pozostaje mało zmienione, ale łączne siły Polski i Francji jako sąsiadów Niemiec i potencjalnie przez nich zagrożonych — w rezultacie się wzmagają, co ma znaczenie na dalszą metę i przetasowuje układ sił w sposób dla nas korzystny, a również pomyślny dla Francji.

Jest niedziela i nad Regenem tysiące Walkirii i Odynów dorastających pławi się w rzece, jeździ kajakami, boso na łąkach gra w piłkę nożną. Nic nie byłoby korzystniejsze dla szczęścia Europy jak ludnościowe rozładowanie ściśnionych Niemiec, tylko nie w kierunku na wschód, gdzie dzięki kompleksowi wyższości trwają w poczuciu swej niemieckości pokoleniami, ale właśnie na Zachód, gdzie prędko się wynaradawiają, pod wpływem kompleksu niższości, mam na myśli oczywiście Zachód europejski. Na przykład we Francji, gdzie Polacy tak mocno bronią się przed wynarodowieniem, Niemcy asymilują się bardzo łatwo, a proces ten nie wygasł od czasu Merowingów.

W „Furth i Wald" stoimy w szpalerach pociągów z polskim węglem do Francji. Na jednym z dalszych torów spostrzegamy pociąg z pozoru wyglądający bardzo podobnie do naszego: wagony towarowe przystosowane do wygodnej jazdy, w nich mężczyźni, kobiety, dzieci. W skład pociągu wchodzi wagon sanitarny i kuchnia. Okazuje się, że to pociąg z Niemcami ewakuowanymi z Czech.

Możemy naocznie porównać i stwierdzić, że Niemcy ewakuowani obecnie z krajów naszych jadą w warunkach zupełnie takich samych jak nasi repatrianci. Nie mogą narzekać, że jadą „w jednych koszulach". Jadą tak samo z walizkami i tobołami, nie gorzej przyodziani, niż nasi repatrianci. I nie jest już winą naszych krajów, że po przekroczeniu granicy czeka ich inny los niż naszych repatriantów, gdy się znajdą w Międzylesiu. Okazuje się bowiem, że ten transport Niemców, najnormalniej i najprawidłowiej w świecie dostarczony do Furth i Wald po stronie niemieckiej został tam zatrzymany, nie puszczony dalej i czeka tygodniami na granicy, nie skierowany w głąb Niemiec, bez nadziei rychłego katerunku w bogatej Bawarii, gdzie Niemki nad Regenem nie kąpią się w kostiumach gorszych niż Polki nad Wartą i całe życie wraca do pokojowej normy, może rychlej nawet niż to się Niemcom należało.

Stanowczo nie jest już winą naszych braci Czechów, że ci Niemcy z emigracyjnego eszelonu czekają na możność wjazdu, osiedlenia się. Jest to już sprawa wewnętrzna amerykańsko-niemiecka. Coraz mniej amerykańska, coraz bardziej niemiecka zresztą, skoro Amerykanie prawie się już nie zajmują administracyjnymi szczegółami, a w całym kraju nie tylko, że policja niemiecka chodzi sobie z karabinami, ale paszport przejeżdżającego tranzytem dyplomaty jest skontrolowany przez urzędnika niemieckiego i uzyskuje jego pieczątkę w niemieckim języku.



Wjeżdżamy w bory czeskie . . .

Prości ludzie z naszego pociągu idą gwarzyć po prostu z prostymi Niemcami z owego eszelonu, przytrzymanego na pograniczu. Historio spraw, aby ustąpiła z dusz owego narodu pycha! Naucz ich relatywizmu, naucz ich wiedzy, że wojny czasem się i przegrywa boleśnie. Nauczka, dana przez historię bądź dla nich sprawiedliwa i zdecydowana. A może nasze prawnuki doczekają się takiego odmienienia ich serc, jakie się dokonało u potomków szwedzkich najeźdźców, którzy przed wiekami też srogo pustoszyli nasze kraje. Jeśli my Słowianie zamierzymy sobie wychować Niemców, musimy okazać im ludzkość, ale i zdecydowanie.

Dlatego my przede wszystkim musimy stać się narodem ludzi zdecydowanych. Jak to dobrze, że do kraju stale wpływa pokaźna ilość repatriantów — ludzi, którzy umieli powziąć decyzję.

Powrót tych rzesz do kraju jest ruchem naturalnym. Nie trzeba ich agitować, ani posługiwać się metodami amerykańskich kapitalistów z filmu „Grona gniewu". Dla tych ludzi wystarczy jedno, aby wzbudzić w nich zaufanie do władz krajowych: Obecny rząd jest pierwszym polskim rządem, który umożliwia i ułatwia powrót do ojczyzny. Wiadomo jak przed wojną, gdy w latach kryzysu zaczęto na Zachodzie zwalniać z pracy Polaków, odnoszono się w konsulatach do kandydatów na powrót. Musieli wracać własnym przemysłem. Słyszałem jak to w berlińskim konsulacie zgłaszali się z prośbą o przewóz, lub bilet kolejowy, a urzędnik skierowywał ich w drogę piechotą! Twierdził, że do Polski już nie tak daleko, a przecież było trochę dalej podówczas niż dziś, gdy ojczyzna już nie jest po drugiej stronie Odry pod Frankfurtem.

Słyszałem przemówienie dzisiejszego dygnitarza do odjeżdżających:

Ojczyzna zaprasza, ale nie zmusza do powrotu, nie czyni żadnego nacisku. Kto chce zostać, pozostaje pod opieką naszych władz, a w przyszłości nie zostanie gorzej przyjęty tylko dlatego, że później się decydował. Ci zaś dipisi, którzy teraz przyjdą z Niemiec do Francji powinni znaleźć braterskie przyjęcie. Można mieć najrozmaitsze poglądy, ale stanowi się jedną rodzinę narodową. Zachowanie polskości jest pierwszym obowiązkiem, ważniejszym niż to, czy kto zdecyduje się wrócić dziś, jutro, czy pojutrze.

To jest najsłuszniejsze postawienie sprawy.

Na obczyźnie zawsze czeka krzywda. Trzeba oddać honor wielkiemu narodowi francuskiemu i jego kulturze, że w porównaniu ze wszystkimi zachodnimi krajami, które goszczą Polaków, Francuzi obok Belgów odnoszą się do nich najlepiej, ale nie ma to jak w domu! Nie tylko los tam czeka lepszy, ale i szansa społeczna awansu jest zupełnie inna.

Od Furth i Wald pociąg już lokomotywą czeską wspina się torem, przy którym są jeszcze strażnicy niemieccy, na wzgórza, stanowiące wymarzony teren dla przemytników.

Niedziela chyli się ku końcowi nad okolicą jeszcze należącą do Niemiec, ale o krajobrazie nawskroś czeskim. Miednice jasnozielonych pól o brzegach ciemnych lasów. Las gęstnieje, a w nim strome przepaście zarośnięte sosną, świerkiem, modrzewiem, olszyną. Bujne podszycie paproci — wymarzony kraj dla kochanków Wielkiej Niedźwiedzicy.

Minęliśmy tunel, może już jesteśmy w Czechach? Wart ani niemieckich, ani amerykańskich ani śladu. Konwojenci francuscy już nas oddali w ręce Czechów. Ostatni Amerykanin, jakiegośmy widzieli, przedefilował jeszcze w Furth i Wald obojętny i daleki, z nieodstępnym Niemcem.

Białe słupki na łące... Może to granica? Sarna swobodnie przebiega tamtędy. Napis czeski. Jesteśmy w ich kraju.

Najprzód trochę spalonych domów — tędy szło uderzenie alianckie na Skodę, które doszło do Pilzna i tam się zatrzymało, gdy powstańcy w Pradze wołali na świat o odsiecz. Grupa ludzi ze strażnikiem pozdrawia przyjaźnie nasz pociąg. Wreszcie prawdziwy, gęsty jodłowy czeski las a w nim skalne urwiska o kamieniu kolorowym. Za urwiskiem wiązy, czeski gęsty las i znów wesoła polana. Pozdrawiają nas czescy wartownicy.

Witaj nam kraju urodziwy, czeskie braterstwo przedłużenie naszej ojczyzny. Jeżeli są popędy irracjonalne, to niechże będzie dane nam uczcić ów racjonalny pęd do zbliżenia, ściślejszego niż dotąd zjednoczenia naszych narodów. Zbudowaliśmy nad naszymi krajami wspólny dach. My byśmy im dali rozprysk bałtyckiej fali, sznurek bursztynu i chleb i niewymuszony wdzięk naszej młodzieży. Oni nam zapach tych lasów i łąk, maszyny, buty i szkło i schludny porządek swego ludu. Dziewczętom z naszego pociągu bardzo się podoba eleganckie wojsko czeskie; uważają, że są znacznie lepiej ubrani i ładniejsi od Francuzów.

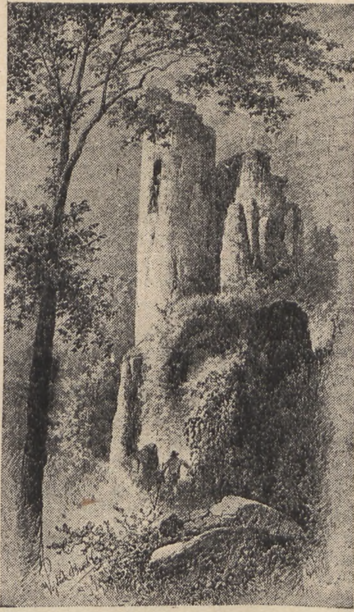
Pod wieczór stanęliśmy w Czeska Kubice i podróżni zapadali w sen, aby zbudzić się wcześnie i ujrzeć sławną Pragę.

W Pradze trzeba stać od wczesnego rana do południa. Musiała bowiem nastąpić przygoda z chlebem.

Już kilka dni podróżni narzekają na chleb wzięty z Francji: że jest kwaśny, że jeść go nie można, że boli po nim brzuch, że jest źle wypieczony. Nareszcie teraz w niedzielę okazał swe właściwe utajone „oblicze". Zielona i biała pleśń wyszła z tego chleba poprzez skórkę i pokryła go pięknym, malowniczym mchem. Jeśli nawet to jest penicylina, to nie w tym stanie przynosi organizmowi zdrowie.

Cały czas transport żył tym, że dostaną w Czechach lepszy chleb. Ten czeski chleb miał być niejako pierwszym sprawdzianem porównawczym dwu kultur: słowiańskiej i romańskiej. Niestety zjawia się przeszkoda dla studium porównawczego. Pociąg zatrzymano na przystanku Praha Vrszovice, a chleb ambasada zamagazynowała na Praha Smichov. Czesi o tym nie wiedzieli i przegnali eszelon przez Praha Smichov, nie zatrzymując go. Więc zaczynają się dopiero perypetie i pertraktacje. Lud jadący pociągiem zaczyna się uskarżać. Czesi z mostu nad torami na sznurku z siatką spuszczają kilka bochenków — ale tego nie wystarczy dla całego ludu, a ponieważ lud jest nawykły do tego, że we Francji kwestie jakości „ravitaillement" są zawsze przedmiotem dysput najbardziej publicznych — zaczyna się dyskutować...

Tymczasem są wielkie trudności w przetransportowaniu chleba. Trudno w jeden organizm powiązać osobę, która ma klucz od składu w



Przepływamy obok zamków, ukrytych na stokach i wśród borów sędziwych . . .

Smichovie, szofera, wóz, benzynę i decyzję. Taksówki w tej dzielnicy nie można dostać i jesteśmy bliscy skapitulowania. W końcu jednak zwycięża energia lekarza, wchodzącego w skład konwoju i moja miękka perswazja. W odległym o kilka staj garażu czeskim znajduje się szofer i wóz, ochotnicy do przerzucania chleba także są, i nic już nie przeszkodzi w uzupełnieniu zapasu. tylko czas upływa z nieludzkim okrucieństwem.

Pragi wspaniałej, złotej Pragi nie widać z tego dworca. Tylko nad dachami dzielnicy robotniczej powiewają flagi. Właśnie trafiliśmy na wybory prezydenta. O godzinie jedenastej w południe eskadry samolotów polecą we wszystkie strony świata, zwiastując wybór Gottwalda.

Droga trwa już dostatecznie długo, aby niektórzy zaczęli uskarżać się na dolegliwości. Temu dziecku spuchła rączka, tamta kobiecina nie ma od dwu dni wypróżnienia, tamtej dziewczynie wyskoczył pryszcz. Lekarz ma ciężką pracę, a trzeba powiedzieć, że jego klientela składa się z osób niekiedy trochę przeczulonych, ale nie dziwmy się temu, przedłużanie się podróży sprzyja, mimo że jedziemy jedną z najpiękniejszych tras w Europie, powstawaniu poczuciu monotonii, a z tą można walczyć również ujawnianiem swych dolegliwości.

Cudowna jest plaża w Kolinie, przepiękny most, porywające miasto. Jest środek czerwca. Widać z pociągu, jak ludzie się kąpią w pięknej rzece z piaszczystą plażą pod nawisłymi wierzbami. Nasz pociąg zatrzymuje się niedaleko od rzeki, ale nasi ludzie nie mogą, z obawy że odjedzie, zaryzykować spaceru do rzeki, zmywają więc kurz i pot z pleców pod kolejową pompą. Zdaje się, że zawiadowca stacji jest wzorem dbałego o los przejeżdżających, ludzkiego zawiadowcy. Zatrzymał nasz eszelon pod okapem kolejowym, który daje wspaniały cień. Ludzie wyskakują z wagonów, żeby rozprostować nogi, dziewczęta flirtują z chłopcami. Smarkacze cwałują po peronie jak tabun koni wypuszczonych na łąkę. Starsi też chcą trochę rozprostować kończyny, a nawet kobieta w ciąży wyskakuje wielkim susem z wagonu na peron. No, no!

Za Kolinem pierwsze od Pragi większe wzgórza zamykają kotlinę. Wszędzie moc flag, flagi powiewają nad czyściutkimi domkami, jeden z domków nosi znak husyckiego „kalicha" (czerwony kielich w białym polu). Przekształcenia socjalne i polityczne nie wiele zmieniają w trybie życia tych ludzi. Pachnie od pól skoszonym sianem. Poletka toną wśród drzew. Kosiarze rozkładają termosy.

Lasu znowu przybywa. Spiętrzona tamami rzeka opływa miasteczko Tyniec. Miasteczko ulepione wokół góry, tak jakby całe miasteczko miało kształt stożka.

Rzeka przełamuje się przez niewysokie skały i znów płynie pod rzędem topól przez łąki. Dalej wierzby, grusze i trzcina. Wóz z sianem jedzie na samochodowych oponach, a siano zgarnia kobieta w kostiumie kąpielowym. Białe brzozy zmieniły wartę topól i przeniosły się na drugi brzeg rzeki. Na rzece barki z drzewem popychają ludzie bosakami, a pogłębiarka wybiera żwir. Bocian spokojnie płynie nad sianokosem, jak w Polsce nie lęka się ludzi.

— O, we Francji nie może być tyle bocianów — odzywa się ktoś z transportu — bo zaraz je łapią na zjedzenie.

Istotnie, we Francji obyczaj nie chroni bociana przed polowaniem.

Pociąg towarowy nas mija, pełen robotników. Na pracę jadą, wracają z pracy, czy może z manifestacji w związku z dzisiejszymi wyborami. Przeleciał pośpieszny z wspaniałą, wysoką nową czeską lokomotywą. Nasz eszelon płynie tak, że wróble mogą dotrzymać mu kroku. Tor zaczyna się wić zakrętami i widać teraz jak bardzo długi jest nasz pociąg.

Rzeczany, tak się nazywa mijana stacyjka. Widać wciąż nowe miasteczka a w nich kościółki małe z wieżami w kształcie szpica, lub z bizantyjską kopułką — stara tradycja Moraw.

Kobieta w czerwonej chustce na głowie rowerem podjeżdża do konnych grabi, ustawia rower pod stogiem i wsiada na siodełko tych grabi. Bydła na polach nie widać zbyt wiele, a koni jeszcze mniej, ale te co są, są wielkie i mocne, ciągną bardzo duże wozy.

Przy miasteczkach wszędzie boiska sportowe, a w oknach czyściutkich domów czerwone, różowe i amarantowe pelargonie.

Teraz i tor i rzeka podpływają do wielkiego cmentarzyska aut. Trzcina coraz gęściej obrasta brzeg rzeki (jedziemy w jej górę), a wkrótce zobaczymy gęste białe lilie na zalewie rzecznym.

Któryś z podróżnych układa bezimienny wiersz:

Do Ojczyzny wracali ludzie pracy tłumem.
Pozdrawiały ich grusze na polach mijanych,
Mak czerwony przy drodze i białe bociany
I wiatr, co grał na trzcinach i na drutach z szumem.
Proste były tych ludzi, gdy wrócą zamiary,
Najpierw ręce i twarze poobmywać z pyłu,
Potem oskard węglowe będzie rąbał iły
I Rota załopce pod niebo sztandarem.
O jedności Ojczyzny z losem robotnika
Wiedzą z tego, co w obcych krainach zaznali,
I przestrzeń, która dotąd dzieliła od kraju,
Z każdym koła nawrotem maleje i znika.
Koła szybko się toczą, te koła są batem,
Który rozpęd historii swym klaskiem przyśpiesza.
Słońce, gwiazdy i ziemia i narodów rzesza
Płynie w rytmie pociągu przed zdumionym światem.

Poniedziałek dobiega mety. Granica jest już o 40 kilometrów. Wszakże podróż naszych ludzi nie skończy się jeszcze tam. Skończy się tylko jeden jej etap, mianowicie dotarcie do Polski. Potem zacznie się może poważniejszy i trudniejszy etap: znalezienie w Polsce jak najlepszego zastosowania. Już w Międzylesiu na punkcie granicznym zastaną szereg propozycji. Ten tansport, z którym jedziemy na przykład, prawie cały uda się potem do Wałbrzycha, na warunki życia zbliżone do tych, do jakich są przyzwyczajeni, ale domy będą czystsze, higieniczniejsze i obszerniejsze, a warunki pracy lżejsze przede wszystkim ze względu na lepsze sanitarne urządzenia na kopalniach.

Kto ma inny określony cel, rodzinę do której wraca, pracodawcę, czekający warsztat — dostanie bilet bezpłatny do stacji, jakiej sobie życzy i trasę, jaką sobie wybierze. A kto ma bagażu więcej niż 300 kilo (a są tacy, co mają po parę tysięcy, nie mówiąc o Lewińskich, którzy mienie wiozą trzema wagonami) i stanie wobec technicznej trudności, a także wobec przepisów zabraniających przekazywanie takich ilości bagażu zwykłą bagażową przesyłką — temu zostanie dostarczony wagon albo dla niego wyłącznie, albo do spółki dla kilku rodzin, udających się w jednym kierunku. Będzie mu się szło jak najdalej na rękę, ale niestety taki wagon będzie mógł jechać tylko w składzie towarowego pociągu i w praktyce podróż po Polsce, zwłaszcza, gdy będzie szło o jej okolice bardziej odległe, może potrwać jeszcze kilka ładnych dni. Nie dostarczy się również nikomu dodatkowych sił pomocniczych do przenoszenia bagaży i repatriant będzie musiał sam dokonać przeładunku. Za to repatriant ma dwa bardzo istotne przywileje: nie płaci za transport i bagaż jego nie podlega rewizjom. Ponieważ repatriant jedzie tylko raz i nie krąży tam i z powrotem w celach kupieckich, wolno mu za to, co odłożył ze swej pracy, kupić sobie we Francji co mu się żywnie podoba i wwieźć do Polski również co mu się żywnie podoba. Tak się również ma rzecz na płaszczyźnie polsko-francuskiej umowy o repatriacji, ale niektórzy celnicy francuscy mają osobiste poglądy na tę sprawę i twierdzą, że repatriant może zabrać z Francji tylko przedmioty własnego użytku, co racja, ale jako kryterium użytkowości traktują czy przedmiot jest nowy czy używany, co już jest bzdurą. Ostatecznie decyduje zdrowy sens, tudzież złe i dobre usposobienie celników. Nie zdarza się, żeby mogli coś zatrzymać, ale bywa że trzeba się z nimi dobrze wykłócić. W każdym razie przekroczenie granicy francuskiej jest jedynym momentem, gdy może kogoś zainteresować zawartość bagażu repatriantów, potem już nikogo nie interesuje.

Natomiast bagaż konwojentów podlega po drodze kilkakrotnym badaniom. Moim zdaniem zabawnym i śmiesznym. Bo jeśli założyć złą wolę, to zawsze znajdą się sposoby na ukrycie rzeczy, której przewozić nie wolno wedle b. skomplikowanych i niejednolitych zasad wszystkich straży celnych po drodze. Lepiej już zaufać dobrej woli. łobuzów do tej pracy nie brać, a flakonik perfum, czy butelkę z koniakiem uznać za rzecz, od której nie wywróci się system gospodarczy żadnego z mijanych państw. Prawdziwy szmugiel i prawdziwe nadużycia odbywają się zupełnie inaczej... Jak? Na spadochronach ze stratosfery. Opowiadają także, że na pograniczu dwu państw odkryto niedawno armatkę, która służyła do wystrzeliwania wspólnikom z zagranicy przedmiotów wartościowych, a także chleba. Cóż za passeizm w epoce udoskonalonych V.

Zgrabne dziewczę w czerwonym niewymyślnym kostiumie kąpielowym kąpie się w zimnej podgórskiej rzeczce. Stacja nazywa się Brandys, zupełnie jak nasz literat. Ostrym już wiatrem wieje od gór, skały stają się coraz bardziej kolorowe. Kamieniołomy otaczają mocne i gęste świerki. Silny bąk wpadł w atmosferę pociągu i w niej istnieje. Piękne ptactwo podobne do mew unosi się nad wąską łąką. Do małego kościółka w górach prowadzi droga wysadzana tujami podobnymi do cyprysów. Przepiękny kraj te zbocza sudeckie, które Niemcy próbowali wydrzeć słowiańshwu, a które teraz stokami spadają ku zaprzyjaźnionym krajom braterskim.

(Dokończenie na stronie 4)

Kulturalny przegląd Szczecina

Kiedy pół roku temu Klub Literacki zainicjował na wieczorze dyskusyjnym pt. „O nowe oblicze kulturalne Szczecina", pierwszy bój o nagrody artystyczne naszego miasta, wiele osób odniosło się do tego zagadnienia sceptycznie. Wskazywano, nie bez słuszności zresztą, na ciężką rękę Zarządu Miejskiego, nie przywykłą do hojności na tego rodzaju cele, na prasę szczecińską, mało interesującą się sprawami kulturalnymi, na minimalne wreszcie zainteresowanie życiem artystycznym samego społeczeństwa. Pomimo to Klub Literacki nie dał za wygraną i po owym wieczorze zainicjował społeczną zbiórkę funduszów na pierwszą nagrodę artystyczną Szczecina. Początkowo sprawa posuwała się opornie. Nieliczna jednak grupa literatów i ludzi skupionych w Klubie Literackim zdołała jakoś przezwyciężyć opory miejscowe i bez szczególnej nawet pomocy prasy zebrała do dnia 1 lipca br. 200 tysięcy złotych. Postanowiono więc przyznać w tym roku dwie nagrody: literacką i plastyczną. Do nagrody pretendować mogli tylko ci artyści, którzy w latach 1945 — 1947 swoimi pracami przyczynili się do wybitnego pod względem artystycznym spopularyzowania tematyki regionalnej. Nagrodę literacką w kwocie 100.000 zł przyznano jednomyślnie Stanisławowi Helsztyńskiemu za zbiór doskonałych felietonów historycznych pt. „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego". Książkę tę wydał Helsztyński w roku 1946, w Szczecinie, gdzie przez pewien czas pełnił funkcję Kuratora Okręgu Szczecińskiego. W dziedzinie plastyki jury przyznało dwie równorzędne nagrody po 50.000 złotych plastykom: Tomaszewskiemu Marianowi i Powidzkiemu Janowi. Poza tym jury postanowiło wyróżnić dwie prace w dziedzinie literatury: Waleriana Lachnitta „Pod znakiem gryfa" i Tymoteusza Karpowicza „Legendy pomorskie". Wręczenie nagród odbędzie się w pierwszych dniach sierpnia. W posiedzeniu jury wziął udział m. in. delegat Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Aleksander Rymkiewicz. Ta pierwsza w Szczecinie społeczna nagroda artystyczna, zainicjowana przez Klub Literacki i ufundowana ze składek społeczeństwa szczecińskiego jest ważnym wydarzeniem kulturalnym. Świadczy ona dobrze zarówno o ambitnych inicjatorach, którzy od trzech lat stale przodują życiu kulturalnemu Szczecina, jak i o samym społeczeństwie, które doceniło tę ambicję i poparło ją materialnie. W ten sposób stworzony został zaczątek pewnej tradycji, która zachęci artystów do dalszej pracy w Szczecinie i o Szczecinie.

Chronologicznie biorąc tę społeczną nagrodę artystyczną poprzedziła o kilka tygodni wcześniej inna, skromniejsza, choć, niestety, niezbyt udana konkursowa nagroda literacka tygodnika „Szczecin". W tym wypadku szlachetność przedsięwzięcia nie szła w parze ze szczęśliwym sformułowaniem konkursu i nagrody. Tygodnik „Szczecin" ogłosił bowiem konkurs na pracę o „charakterze marynistycznym", związanym jednocześnie „ze środowiskiem współczesnym Szczecina". Te bardzo wzniosłe i szlachetne, ale nieco karkołomne, założenia nie wróżyły powodzenia konkursowi. Nic dziwnego więc, że nie zainteresowali się nim nie tylko miescowi literaci, ale nawet grafomani, którzy zawsze zlatują się jak ćmy do wszelkich konkursów. Na konkurs napłynęło raptem 11 prac. Skromną sumę 50 tysięcy zł jury rozdzieliło na trzy części, nie dowierzając widocznie nagrodzonym przez siebie utworom. Rzeczywiście, noszą one na sobie wyraźny stempel banału i nieporadności literackiej. Trudno, marynista nie rodzi się à la minute, przy biurku, a od urzędowego szablonu morskiej propagandy broń nas Panie Boże w literatu-



rze! Słusznie pisał na ten temat jeszcze w roku 1935 jeden z wybitniejszych marynistów polskich, Zbigniew Jasiński: „Co gnębi naszą marynistykę, że się wymotać nie może z przybrzeżnej sieci i wypłynąć, jeśli nie na oceany, to choćby na „bezkres" Bałtyku"? Propagandyzm i koniunkturalność!"

Słowa te, niestety, nie straciły w niczym na swej przykrej aktualności.

DWA MUZEA

Spośród wszystkich dziedzin życia kulturalnego Szczecina jedna była dotychczas typowym kopciuszkiem, upośledzonym i zapomnianym przez samo społeczeństwo szczecińskie. Jak każdy przysłowiowy kopciuszek, tak i ta jego szczecińska siostrzyca rozwijała się dotychczas na uboczu, w cieniu swych przyrodnich i głośniejszych sióstr: teatru, plastyki, literatury czy muzyki. Tym kopciuszkiem jest, a raczej było do niedawna, Muzeum Pomorza Zachodniego. W maju bieżącego roku dyrekcja Muzeum ukończyła wreszcie na tyle remont kilkunastu sal dużego gmachu przy Placu Żołnierza Polskiego, że można je było udostępnić publiczności. Celebrował tej uroczystości otwarcia Minister Kultury i Sztuki w towarzystwie wielu profesorów archeologii i prehistorii z Uniwersytetu Krakowskiego i Poznańskiego. Otwarcie Muzeum umożliwi publiczności, a zwłaszcza szerokim rzeszom młodzieży zapoznanie się z 15 tysiącami eksponatów z zakresu muzealnictwa artystycznego oraz zabytków historycznych Pomorza Zachodniego. Muzeum jest tak rozplanowane, że zawiera oprócz zbiorów muzealnictwa artystycznego tutejszego regionu także wielką galerię obrazów najwybitniejszych naszych malarzy i rzeźbiarzy z końca XIX wieku, m. in. obrazy Matejki, Fałata, Jul. i Wojciecha Kossaków, Chełmońskiego, Wyspiańskiego, Mehoffera i innych, którą to kalerię otrzymaliśmy z Warszawy, w drodze wymiany za pewne eksponaty naukowe naszego Muzeum, w tej chwili mniej nam potrzebne. Zbiory Muzeum dają plastyczny obraz kultury artystycznej poszczególnych regionów Pomorza Zachodniego oraz niemniej plastyczny, bo uwidoczniony w ciekawych wykopaliskowych zabytkach, obraz historii i kultury Pomorza Zachodniego.

Po Bibliotece Miejskiej, liczącej około 300 tysięcy książek we wszystkich niemal językach świata oraz Państwowym Archiwum Miejskim, zawierającym kilka tysięcy dokumentów historycznych, jest Muzeum Pomorza Zachodniego trzecią wielką placówką artystyczno-naukową, niezwykle ważną dla życia kulturalnego Szczecina. To tworzenie zasadniczych baz kulturalnych ma wielkie znaczenie dla życia umysłowego Szczecina. Powiększa je bowiem nie tylko wzwyż, ale także wszerz, co w dobie upowszechnienia kultury jest rzeczą niezwykle ważną. Z niecierpliwością więc oczekujemy otwarcia jeszcze jednej placówki naukowo-oświatowej, jaką jest Muzeum Morskie. Będzie to jedyna tego rodzaju placówka w Polsce. W tym celu remontuje się już od roku wielki, imponujący gmach przy Wałach Chrobrego, w którym dawniej mieściło się Muzeum Wiedzy i Sztuki. Plan tego Muzeum obejmuje zagadnienia geografii świata, oceanografii, hydrografii Bałtyku, fauny i flory morskiej itp. Będzie to więc w przyszłości wielka placówka, o doniosłym znaczeniu dydaktycznym.

Stanisław Telega

znakiem lwa

wyrzekając na straszny ból głowy, łamanie w kościach i gorącość. Służebnej, jak na przekorę, zarówno w domu nie było, gdyż po południu poszła na pogrzeb matki.

— No, jak nie ma żadnej białki, to już wypadnie Walterowi obnieść chociażby koszulę Dorotki, bo i tak w ostateczności można zrobić — wyjaśniał grózek Wojciech. — Ale lepiej byłoby, gdyby to sama białka mogła obejść pole...

Walter, nim wyszedł, wziął jeszcze płachtę do siewu i jął zawiązywać w jej róg srebrne pieniądze, kawałek chleba, sól i koper, co czynił dla zapewnienia urodzaju.

— A tu masz jeszcze ten groch z popiołem z dwunastnicy zmięszany — podawał grózek węzełek z grochem.

— Zaraz go tu założę. Już wszystko, płachtę, koszula Dorotki, popiół z dwunastnicy... Teraz w drogę.

— Sceść Boże... Sceść Boże... — odprowadzał grózek syna na podwórze. — A uważaj, byś nie przechodził przez płot, bo się nasienie odmieni upomniał jeszcze.

— Ostawajcie z Bogiem.

Ruszyli w milczeniu, starając się najrychlej ze wsi na drogę polną wydostać. Nikogo już się tam nie napotka...

Szarość przedświtowa przędła się nad światem. Na wschodzie łagodną poświatą poczynały złocić się zorze. Niebo modrzało, jak te wody jeziorne o późnym zachodzie. Lasy tonęły w tajemniczej siności omroczeń. Nad jeziorem i polami słały się mgły białawe, zda się olbrzymie zgrzebne płótna, kędyś w dale bezkresne rozesłane...

A ponad wszystkim wielkimi, podniebnymi skrzydłami wiała jakaś cichość uroczysta, że każdy szmer, każde uderzenie kopyta końskiego o kamień, każde skrzypnięcie kolasy, i to ledwo słyszalne tarcie się kół o sypki piasek wyjeżdżonej koleiny, nabierały rozgłosu, siły i drażniącym zgrzytem mąciły ten majestatyczny spokój natury, dziwnie słodki, ukojny i sercu miły.

Jak widma sunęli siewcy w tej ciszy wczesnego poranku. Zdawało się, że to jacyś dawni, zapomniani praojcowie wstali oto z grobów nieznanych i idą czynić prastare, święte obrzędy tej ukochanej, męczeńskiej ziemi rodzinnej, przez drapieżnego wroga z taką zaciekłością prawowitym jej synom wydzieranej...

Wjechali wreszcie szczęśliwie na zagon, pod siew wyrychtowany. Parobcy poczęli zdejmować z wozów brony i wyprzęgać konie. Walter zasię z koszulą żony w ręku jął obchodzić pole dokoła.

Nim skończył tę czynność rozedniało się dobrze. Lada moment błyśnie jasnym okiem upragnione słoneczko...

Tymczasem zawiesił sobie przez ramię płachtę siewną. Parobcy wsypali w nią grochu, wczoraj do siewu przygotowanego, do którego były również wmieszane trzy garście ziemi z pola sąsiada — na szczęśliwą wróżbę.

Przeżegnał młody Kwiatkowski zagon ojczysty krzyżem świętym i rzucił pierwszą przygraść grochu, tego z węzełka, z popiołem z dwunastnicy, ażeby plon był omłotny. Następnie, przystępując do siejby, sypnął szerokim półkolem pierwszą garść, mówiąc: — Pierwsze dla Pana. Postąpił krok i rzucił drugą — Druga dla mnie. Za trzecim razem kończył: — Trzecia dla ptactwa.

I już szedł naprzód zagonem powoli, równo, dostojnie, raz po raz szerokim rzutem ręki znacząc drogę zasiewu.

W górze rozdzwoniły się radosne skowronki, witając wschód słońca, które wynurzało się wolno zza lasów błękitnych, na ten świat Boży, rozpoczynając dzień znojnej i zabiegliwej pracy.

Ruszyły brony, przysypując zrówna pulchną, wilgotną ziemię i jakoby na wypoczynek, w miękkie puchy pościeliska troskliwie układając

A wszędzie, gdzie się tylko ciągnęły pola sokolskie, widać było siewców, tak jak Walter, przemierzających zagony w różnych kierunkach, a za nimi chodzące brony.

Lud mazurski rzucał pracowicie siewne ziarno w glebę rodzimą, przeważnie pieszczystą i jałową, na której uprawę nie szczędził swej krwawicy, boć to była przecie jedyna jego żywicielka. A przy uprawie jej nieraz rzucił przysłowiowy przyśpiewek:

„Co ci urodzi licha rolecka,
Tego ci nie da własna matecka".

Przed południem przydreptał na pole grózek Wojciech. Rozglądał się wokół po polach radośnie i długo. Snadź wspominały mu się dawne czasy, gdy jeszcze sam w pocie czoła od świtu do nocy na zagonach harował i majętność mnożył, bo po kilkakroć jakby do siebie powtarzał:

„Gdy dołozys trudu,
Docekas się cudu."

Zżymał się tylko gniewnie patrząc na liczne gromady kawek i gawronów, które łan siewny obsiadały, racząc się smacznym grochem, że, nie mogąc zdzierżyć, pokrzykiwał na parobczaków:

— A zganiajcie rychlej tych darmozjadów, co to tyle szkody gburowi czynią. Ustawcie też zaraz po obiedzie straszydło. Trzeba było już z rana wziąć ze sobą — tyle nasienia się zmarnuje przez wasze gapiostwo...

Zbierali się już na obiad. Przysiadł na wozie obok Waltera i już odjeżdżając upominał syna:

— Pamiętaj tylko, pilnie i starannie obsiej całe pole... nie zostaw jakiego szmatu nieobsianym, bo wiesz co cię wtedy czeka... — i dodał z jakimś mistycznym lękiem: — Śmierć, niechybna śmierć, jeszcze w latosim roku... Joo... joo... Pamiętaj..,

Bronisław Kretowicz

Słowniczek:

zabaczyć — zapomnieć
białka — kobieta zamężna
grózek — dziadek
gbur — gospodarz
buksy — spodnie
dwunastnica — okres świąt Bożego Narodzenia.

Wśród czasopism

O ile mnie pamięć nie myli, pierwszą relację o tragicznej w swych okolicznościach śmierci Kazimierza Przerwy-Tetmajera (o którym wielu czytelników sądziło już na długo przed wojną, że nie żyje) przyniósł w r. 1945 lub 1946 *Lewy Tor*. Tam też wyjaśniona została tajemnica długoletniego milczenia tego czołowego pisarza Młodej Polski, milczenia, które zapadło już w nim w latach pierwszej wojny światowej. Tajemnica lekarska, bo dosyć znanym faktem było, że przyczynę stanowiły tu zaburzenia umysłowe. Źródłem tych zaburzeń — według wspomnianej relacji — był ujawniony przy sekcji zwłok guz na mózgu (t. zw. tumor).

Zamilkł więc Tetmajer na około dwadzieścia pięć lat przed zgonem, mniej więcej w pięćdziesiątym roku życia, a więc w wieku, kiedy pisarze normalnie osiągają pełnię swej twórczej dojrzałości, gdy koronują dzieło swego życia. Fakt ten sprawił, że epik Tatr i Podhala przeszedł do historii literatury już z rokiem 1918, znacznie wcześniej niż Kasprowicz czy Berent.

Dlatego z tym większym zainteresowaniem bierze się do ręki 6-ty zeszyt *Twórczości*, gdzie jeden z nestorów naszej literatury Adam Grzymała-Siedlecki kreśli interesujący i bogaty w szczegóły portret literacko-biograficzny autora „Na skalnym Podhalu". Portret ten jest znacznie ciekawszy w swej treści biograficznej niż w ocenach i charakterystykach literackich, chociaż Siedlecki wcale trafnie umieszcza twórczość Tetmajera w ramach epoki i prądów literackich. Anegdotyczne fragmenty biografii odsłaniają nowe rysy psychiczne Tetmajera, pozostały zaś materiał daje doskonały podkład biograficzny pod rozwój twórczości pisarza, rozwój bardzo nierówny, pełen spadków, poczynań chybionych i usiłowań nieprzemyślanych zwłaszcza w dziedzinie powieści.

Bolesny zwłaszcza w swojej wymowie jest końcowy fragment biografii Tetmajera, na który zwrócił już uwagę Jalu Kurek w *Dzienniku Polskim*. Jesień 1939 roku pozbawiła Tetmajera dachu nad głową (miał zapewnione mieszkanie i utrzymanie w hotelu „Europejskim" w Warszawie) i od tego czasu do zgonu, który nastąpił w styczniu roku 1940, losy pisarza są nieznane. Zgon ten nastąpił w okolicznościach ponurych. Znaleziono Tetmajera, liczącego już 75 lat, wynędzniałego, ubranego w cienkie palto późnym wieczorem mroźnego dnia leżącego bez przytomności na ulicy w Warszawie w zwale odgarniętego z chodnika śniegu. Przewieziony do szpitala już po odejściu lekarzy zmarł w nocy. Dopiero pierwszy lekarz, który zjawił się rano następnego dnia w szpitalu, stwierdził, czyj wynędzniały trup leży na jednym z łóżek.

Zestawiwszy relację Grzymały-Siedleckiego i wspomnianą już relację *Lewego Toru*, konstatujemy, że brak jest szczegółów z ostatnich miesięcy życia poety Tatr, że nie wyjaśnione są drogi, jakimi po wyrzuceniu przez Niemców z hotelu Europejskiego doszedł do śmierci nędzarza na warszawskiej ulicy. Może znajdzie się ktoś, kto wie cośkolwiek z życia Tetmajera w tym czasie, i może uzupełnić te dwie wiadomości. A może niczego się już nie dowiemy o tym ostatnim etapie pisarza, może nie będą chcieli przemówić ci, którzy spotkawszy go w owe dni nie udzielili mu opieki i schronienia.

Jalu Kurek swoje sprawozdanie z artykułu Grzymały-Siedleckiego zaopatruje gorzkim komentarzem, który brzmi jak wyrzut pod adresem społeczeństwa, które, jeśli nie kamienuje, to z lekkim sercem zapomina o swoich prorokach. Ma dużo racji. Ale tu już oszczędźmy czytelnikowi tej gorzkiej opowieści. Przykro pisać na ten temat. Niech mówią za siebie.

Z omawianego zeszytu *Twórczości* pragnąłbym zwrócić jeszcze uwagę na materiał zawarty na ostatnich czterdziestu jego stronach wypełnionych recenzjami. Są to sprawozdania z nowości. Tym razem otrzymujemy szczególnie bogaty materiał recenzyjny. Przede wszystkim Kazimierz Wyka daje obszerne omówienie czterech powieści o wsi (Leopolda Buczkowskiego, Józefa Mortona, Józefa Pogana, Juliana Gałaja). Zalet tych recenzji nie potrzebuję tu podkreślać. Warto tylko zaznaczyć, że stanowią one doskonały przegląd zagadnień artystycznych związanych z problemem tak zwanej u nas literatury chłopskiej. Wyka w swojej pracy sprawozdawczej stosuje pewną metodę. Nie śpieszy się z oceną, oczekuje przewalenia się głównej fali omówień jakiejś książki, a potem rekapituluje te omówienia i daje sąd swój własny jakby ostatecznie już ustalający pozycję książki w literaturze współczesnej. Przyznać trzeba, że te sprawozdania wyroki przyjmuje się z dużym zaufaniem. Mają one wszechstronną i rzadko dającą się podważyć argumentację, są uzasadnione w sposób nie budzący większych sprzeciwów, często pobudzający tylko do dyskusji na tematy natury zasadniczej. Dalsze sprawozdania omawiają „książki o domu rodzinnym" Zofii Szymanowskiej i Heleny Boguszewskiej (doskonała recenzja Krystyny Kuliczkowskiej), opowiadania Pawła Hertza z tomu „Sedan" (bardzo dobra recenzja Henryka Markiewicza — to znaczy, że recenzja jest dobrze napisana, bo książka w jej świetle wychodzi na „pyrrusowe zwycięstwo" pisarza socjalistycznego) oraz debiut Czesława Schabowskiego „Tama" (z tymi samymi komplementami sprawozdanie Stefana Lichańskiego). Uzupełnia ten dział Jan Hulewicz recenzją pierwszego tomu „Wspomnień" Ludwika Krzywickiego. Pod niezawodną redakcją Wyki dział recenzyjny stanowi jedną z najwartościowszych pozycji *Twórczości*. Gdy zestawimy go z analogiczną rubryką *Zeszytów Wrocławskich*, które zbyt wąsko dobierają sobie grono współpracowników, zaczynamy odczuwać wiarę w przyszłość polskiej krytyki literackiej. Czytelnik choćby tylko ze względu na te oceny nie powinien pomijać żadnego z numerów tych dwóch pism. Rada ta jest tym bardziej uzasadniona, że dział recenzyjny w tygodnikach literackich coraz bardziej ustępuje miejsca szkicowym notatkom (exemplum *Odrodzenie*), że często spotykamy się tam z typem recenzji grzecznościowej.

Na zakończenie jeszcze temacik wakacyjny. Okres lipca i sierpnia można określić jako ruch w interesie imprezowo-objazdowym. Tworzą się zespoły literatów i satyryków, humorystów, piosenkarzy, aktorów i wszystko to rusza na podbój miast, miasteczek, letnisk i uzdrowisk. Przykro nam, że wszystko to nosi zdecydowane cechy łatwego robienia pieniędzy z często po prostu „nabijania w butelkę" na nazwiska i tytuły. Podłe farsy, stare kawały i wielekroć publikowane utwory składają się na repertuar, który często jest bardzo niewybredny, a dla którego wabikiem mają być nazwiska popularnych wykonawców lub autorów. W prasie Dolnego Śląska czytam stale utyskiwania na tego rodzaju imprezy objazdowe. To samo na Śląsku Górnym. Prasa codzienna jest w kłopocie. Bo organizatorzy przychodzą z zaproszeniami, biletami, proszą o reklamę, której się im naturalnie nie odmawia. A potem wynika mały skandalik albo i grubsza chryja. Okazuje się, że trójka znanych aktorów spod znaku dobrego kabaretu literackiego daje same wybiórki, albo że znany poeta wychodzi na trybunę w stutysięcznym mieście przemysłowym na odzyskanym Śląsku zalany w pesteczkę i bełkoce, powtarzając już analogiczne wyczyny z Wrocławia.

Kto zrobi z tym porządek? *(ki)*

Książki dla młodzieży

Podanie prawdy o życiu w sposób przystępny dla młodego czytelnika jest wielkim kunsztem. Celują w tym niewątpliwie autorzy skandynawscy, którym udaje się stworzyć klimat moralny powieści tak czysty, że ukazuje prawdę bez załamań psychologicznych. Powieść autorki duńskiej **Karin Michaelis „Dzieci z Nyhawn"** jest właśnie takim dodatnim przykładem. Tłem powieści jest port w Kopenhadze i życie ubogich ludzi ze wszystkimi ludzkimi słabostkami. Zjawia się pijany marynarz, a drugi zaginął gdzieś w świecie w poszukiwaniu przygód, jest niedbały trochę, ale kochająca matka i cały szereg dorosłych, którzy mają tyleż wad co i dzieci. Bohaterka powieści mała Lotka, tańczy i gra, skupia na sobie uwagę autorki i czytelnika i otoczona jest poetyckim urokiem miłości małego kaleki, ale ma wszy we włosach. Oczywiście z zaniedbania, które jest jej własną winą i ona o tem wie. Nikt jej nie potępia, podobnie jak nikt nie oburza się na starego gałganiarza, przyjaciela Lotki, że jest brudny. Wszyscy starają się tylko pomóc im w usunięciu zła. Konflikty tej powieści są natury moralnej, proste, nieskomplikowane, wynikające logicznie z życia. Obraz życia ukazany jest z sugestywną prostotą, i układa się w sposób harmonijny i szlachetny choć nie jest idealizowany.

Podobnie, choć na innym tle układa się obraz życia w powieści **Heleny Robińskiej „O szczęśliwym chłopcu"**. Nakładem „Czytelnika" wyszło obecnie czwarte wydanie tej powieści, która czytana jest przez dzieci od 1918 roku i nic nie straciła na aktualności. Dzieci nadal piszą listy do szczęśliwego Romka Nawrockiego i wybierają się by go odwiedzić w Suchej. Atrakcyjność tej powieści polega nie tylko na żywej akcji, ale przede wszystkim na bezpośredniości i prostocie ujęcia. Autorka ukazuje ludzi w toku codziennych zajęć, ale sposób w jaki chłopiec przeżywa każdy dzień i najprostszą czynność zamienia wszystko w cudowną przygodę. Dobro i zło jest tu ukazane równorzędnie, obok siebie, ale postawa moralna chłopca rozsądza i rozgranicza te sprawy bez wątpliwości. Szczęściem Romka nie jest świat zewnętrzny, tylko jego wewnętrzne nastawienie pełne życzliwości ku wszystkiemu co żyje. A obok chłopca swoim własnym, niemniej ważnym i radosnym bytem żyje piękna przyroda, góry, lasy i rzeka Skawa. Książka „O szczęśliwym chłopcu" jest mądra w swej prostocie.

Powieść **Anieli Gruszeckiej „Od Karpat po Bałtyk"** (wyd. „Czytelnik") była już nieraz omawiana. Jest to jak dotychczas najlepszą książką dla starszych dzieci, przedstawiająca okupację niemiecką na wsi i zagadnienie Ziem Odzyskanych. Poziom literacki jest wysoki, język piękny, akcja żywa. Liczne i pożyteczne wiadomości o Pomorzu i Kaszubach wynikają w sposób naturalny z rozwoju akcji. Wychowawczo działa sposób ujęcia głównej postaci, wiejskiego chłopca Adama, podkreślający bez idealizowania największe wartości człowieka z ludu: stosunek do pracy i nieugiętą wolę przetrwania. Wadą książki utrudniającą jej rozpowszechnienie wśród najszerszych kół młodych czytelników jest trudna kompozycja. Część pierwsza wiejska, wprowadza nadmiernie rozbudowane zagadnienie racjonalnej gospodarki, w części drugiej, kaszubskiej, występuje mało dla młodzieży zrozumiały pierwiastek mistyczny.

Równie wartościową powieścią jest wznowiona obecnie przez „Czytelnika" **Gruszeckiej „W grodzie żaków"**. Życie i obyczaje średniowiecznego Krakowa, walka o byt uczącej się młodzieży i konflikt żaków z duchowieństwem przedstawione są w tej książce w sposób sugestywny a zarazem z artystycznym umiarem.

Z powieści historycznych, bardzo pożądanych przez młodzież wyszły w „Czytelniku" wznowienia trzech powieści **Kossak-Szczuckiej: „Warna", „Gród nad jeziorem" i „Puszkarz Orbano"**. Powieść historyczna Szczuckiej jest klasyczna w swych założeniach. Wskrzesza przeszłość wiernie a losy bohaterów są po prostu artystycznym stafażem dla ubarwienia i ożywienia dziejów. Niemniej są to ludzie żywi a przedstawienie ich przygód, moralnych wzlotów i upadków jest wychowawczo niezwykle cenne. Szczególnie znacza się to w Puszkarzu Orbano, gdzie na tle ginącego Bizancjum rozgrywają się dzieje genialnego wynalazcy i jego odpowiedzialności moralnej za wynalazek, szkodliwy społecznie.

Motyw odpowiedzialności występuje również w powieści **Gajdara „Timur i jego drużyna"**, tłumaczonej z rosyjskiego przez Jarmolińską Helenę a wydaną przez „Czytelnika". Gromada chłopców pionierów bierze w opiekę rodziny wojskowych walczących na froncie. Podejście autora do przedmiotu wykazuje doskonałą znajomość psychiki chłopięcej. Akcja rozgrywa się ze wszystkimi atrybutami tajemniczości, sygnały, znaki, skróty, kryptonimy odgrywają dużą rolę w sensacyjnie ujętym toku. Ale sensacja jest zdrowa, atmosfera pogodna, postacie bohaterów szlachetne a patriotyzm podany w sposób najprostszy, bez cienia patosu. Mimo tych walorów książka nie jest łatwa dla młodzieży z powodu zastosowanych przez autora skrótów literackich i bardzo sugestywnego lecz trudnego stylu. Oczywiście należałoby sprawdzić jak to wygląda w oryginale, choć tłumaczenie jest stylistycznie czyste i poprawne.

Z powieści dla starszej młodzieży warto zwrócić uwagę na dwie książki **Marii Kann o tematach** sportowych tak bardzo przez młodzież pożądanych. Nakładem krakowskiego wydawnictwa Kamieńskiego wyszło wznowienie powieści **„Jutro będzie słońce"**. Powieść została napisana z myślą o dorastających dziewczętach. Akcja przenosi się kolejno ze szkoły na stadion sportowy i do domów rodzinnych, daje przekrój środowisk społecznych na tym tle ukazuje kolejno bohaterki i ich stosunek do różnych zagadnień życiowych. Trochę tu tłoczno od tych właśnie problemów, trochę za dużo słów. Ale zarazem duża znajomość psychiki dorastających dziewcząt, dużo pogody i humoru a język żywy i barwny. Przytem książka może być przykładem, jak autor obdarzony artystycznym wyczuciem, może sublimować żądania czytelnika. Dziewczęta lubią powieści erotyczne i autorka wie o tym. Ale w sposób bardzo mądry i delikatny przemienia erotyzm w przyjaźń, czułostkowość w uczucie i daje rzecz o dużym znaczeniu wychowawczym i świetnej postawie moralnej.

Postawa moralna jest również problemem drugiej powieści **„Pilot gotów?"** Akcja rozgrywa się w szkole szybowcowej i na lotnisku. Temat lotniczy nie jest tu pretekstem literackim. Jest opracowany z całą znajomości techniczną szybownictwa, ale na tym tle ukazany jest człowiek i wychowawcze wartości sportu. Autorka włada w tej powieści dojrzałym stylem literackim i to pozwala jej przedstawić w sposób prosty a wnikliwy stosunek sportowca do samego siebie, do towarzyszy i do sprzętu, szybowca, za który jest odpowiedzialny, jako za wspólną własność. Na książkę „Pilot gotów?" powinny zwrócić uwagę młodzieżowe koła sportowe. Powieść nie wykracza poza zakres pojęć właściwych młodzieży typu sportowego, ale je pogłębia, a problemy moralne które porusza, są szczególnie ważne w dobie zdziczenia i wynaturzenia sportu.

Innym typem powieści sportowej jest **Jerego Rytarda „W pięknych górach"** (wydawnictwo Awir, Katowice). Powieść jest pogodna, żywa w akcji i pełna humoru. Gazeciarz zakopiański i jego przyjaciel maturzysta zarabiają na swe utrzymanie i oddają się z zapałem narciarstwu. Rywalizacja między prawdziwymi sportowcami a elegantem uprawiającym narciarstwo dla mody, prowadzi autora do niejakiej przesady. Wszystkie cienie gromadzą się po stronie „ceprów" a wszystkie cechy dodatnie po stronie górali. Rażą też niekiedy niesmaczne wyrażenia i brak pogłębienia w rysunku postaci i konfliktów. Piękne natomiast są opisy gór i kapitalna postać starego górala Słodycki.

Dobrą i pożyteczną powieścią „morską" jest **R. Manugiewicza „Wielki sztorm"** (wyd. „Czytelnik"). Środki, którymi operuje autor nie wychodzą poza poprawność, ale niewątpliwą zaletą tej powieści jest temat i ton autentyzmu, który brzmi w opisach. Autor zna losy statku „Ślązak" i poprzez dzieje bohatera, kaszubskiego chłopca Franka Kądzieli ukazuje zarazem rolę marynarki naszej w drugiej wojnie światowej.

Wyszło również nakładem „Czytelnika" drugie wydanie znanej książki **Czesława Centkiewicza „Biała foka"**. Tajemnicza Północ, pierwotne warunki życia myśliwych na statku uwięzionym wśród lodów to rzeczy znane i porywające młodzież, tym bardziej, gdy autor podaje swe własne przeżycia w sposób bardzo bezpośredni i sugestywny. Były już dyskusje na temat właśnie bardzo sugestywnego przedstawienia przez Centkiewicza polowania na foki. Realizm opisów pokładów tonących we krwi zwierząt, był może rażący przed tą wojną. Starsza młodzież dla której książka jest przeznaczona, widziała zapewne bardziej straszne widoki i wrażliwość jej jest stępiona. Niemniej wartoby się zastanowić nad wartością wychowawczą realizmu, stosowanego bez ograniczeń. W książce Sempołowskiej „Na ratunek" (wyd. „Książka" realizm wypadków rozgrywających się wśród lodów północy jest niemniej prawdziwy i wstrząsający, ale akcent położony jest na czymś bez porównania ważniejszym, jak zabezpieczenie potrzeb materialnych człowieka.

Janina Radwan.

Notatki

Ladacznicy bez zasad

Grupa czterech pisarzy pod nazwą „Ladaczników z zasadami" objeżdżała w tygodniach wakacyjnych Ziemie Odzyskane z wieczorami autorskimi. Z poszczególnymi członkami owej grupy rozmawiałem w Katowicach, Gliwicach i we Wrocławiu. Byli przejęci swą misją a jeden z nich, doskonały poeta acz słaniający się już na nogach od nadużycia alkoholowego oświadczył, że postarają się oni dotrzeć do najmniejszych miejscowości Z. O., aby wszędzie zetknąć ludzi z polską sztuką. Do tych najmniejszych miejscowości zaliczył Zieloną Górę i kilka miast o ludności dziesięciotysięcznej. Z ust innego z „ladaczników" dowiedziałem się, że podróżują oni wagonem salonowym, dostarczonym im, zapewne dla ważności wykonywanego zadania, przez Ministerstwo Komunikacji.

Nie wiem jednak, czy Ministerstwo Komunikacji, tak wspaniałomyślne dla czwórki pisarzy, wie, iż program wieczorów ladaczników składa się z utworów drukowanych już przeważnie w prasie polskiej oraz że doskonały poeta kilka razy występował w stanie całkowitego zamroczenia alkoholicznego, wylewając wodę na stół, mamrocząc swoje wiersze w taki sposób, że brzmiały one jak złorzeczenia pod adresem publiczności. Nic dziwnego więc, że potulna zazwyczaj publiczność Ziem Odzyskanych, która przywykła już do tego, iż karmi się ją tu kulturalnymi obierzynami, z oburzeniem opuszczała salę, a w Gliwicach sporo ludzi wyszło w czasie samego wieczoru. Ludzie na Ziemiach Odzyskanych czytają pisma literackie. Jeśli przychodzili tak tłumnie na wieczory wspomnianej czwórki, to tylko dla zobaczenia znanych sobie dobrze z lektury pisarzy, dla powitania ich na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Oczekiwali od ulubionych znanych pisarzy nie tylko nowej sztuki, nowych utworów ale i kulturalnego zachowania się. O literatach ma się tu jeszcze na ogół dobre pojęcia jako o ludziach kulturalnych. Tymczasem wspomniana czwórka ladaczników okazała się całkiem bez zasad, w każd. razie poszczególni jej członkowie. Nie będziemy tu opisywali pojedynczych wypadków, wierzymy, że znajdą one swe odbicie w raportach terytorialnych kierowników kultury i sztuki do odpowiedniego Ministerstwa. Na przyszłość jednak pragniemy podać do wiadomości wszystkich pisarzy, wyjeżdżających na Ziemie Odzyskane z wieczorami czy porankami autorskimi: Przyjeżdżajcie z najlepszymi swoimi utworami a przede wszystkim zachowujcie się kulturalnie. Bo na Ziemiach Odzyskanych żyją ludzie kulturalni, nie znoszą oni awantur pijackich ani obrzydliwych słów, tym więcej jeśli pochodzą one z ust poety, który ma zaszczyt reprezentować najlepszą polską poezją rewolucyjną.

Jan Król

De la critique...

Zdzisław Hierowski ostatnio zbiera same pochwały. Już to za komentarze do listu papieskiego do biskupów niemieckich, już też za tłumaczenia ze współczesnej prozy czeskiej. Coraz częściej jednak występuje Zdzisław Hierowski jako publicysta, w pierwszym rzędzie w stałych felietonach na tematy śląskie na łamach „Dziennika Literackiego" i „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego". Felietony te mogłyby odegrać pewną rolę w życiu kulturalnym Górnego Śląska, narażonym w ostatnim zwłaszcza czasie na poważne straty, gdyby cechował je pewien obiektywizm, gdyby były krytyką środowiska ale krytyką twórczą, pozytywną. Karykatura ma swoje prawa ale i karykatura, wykrzywiając osoby, zdarzenia i tło, jest czynnikiem hamującym rozwój życia kulturalnego, szkodliwym i niepotrzebnym. Zdzisław Hierowski należy jednak do tych obserwatorów życia kulturalnego na Śląsku, którzy odczuwają często złośliwą radość na widok niedociągnięć i błędów, sami jednak odsuwają się od pracy. Zdzisław Hierowski w nieodpowiedzialny sposób dał na łamach wrocławskiego dziennika wyraz swej satysfakcji, że nie udały się organizowane w Katowicach przez ZZLP i Woj. Dom Kultury czwartki literackie, opisał puste sale i piętnował organizatorów, sam jednak w niczym organizatorom nie pomógł, by imprezy te cieszyły się większym powodzeniem. A przecież skoro się jest działaczem kulturalnym, skoro należy się do aktywniejszych literatów danego środowiska, ma się niejakie obowiązki wobec takich instytucji jak Wojewódzki Dom Kultury czy Związek Zawodowy Literatów Polskich. Za wykpienie określonej inicjatywy kulturalnej ostatecznie można jeszcze otrzymać wierszówkę. Ale czy na tym polega wymiana dóbr kulturalnych między środowiskiem a pewnymi redakcjami?

Zdzisław Hierowski, zasłaniając się prawami karykatury, lubi w sposób apodyktyczny decydować o czyichś zdolnościach artystycznych i talencie. W historii krytyki polskiej znamy wypadki szafowania określeniami w rodzaju grafoman, nie-orzeł (któż z nas jest orłem, ach któż, panie Zdzisławie), kataryniarz itd. Nikt się z tego powodu nie strzelał, nikt nie przestawał wierzyć w rozwój swego talentu. Dzisiaj jednak informujemy opinię nową, do konsumowania literatury dopuszczoną często jedynie na skutek przemian społecznych, jakie u nas nastąpiły. Dziś zwracamy się do ludzi, którzy przede wszystkim pragną pozytywnej oceny literatury, którzy ostrzeżenia przed grafomanią przyjąć mogą jedynie wtedy, gdy równocześnie wskazuje im się źródło prawdziwej wartościowej sztuki. Jednostronna negatywna krytyka w żadnym wypadku nie może być zastosowana wobec współczesnych zjawisk literackich w Polsce, gdyż w ich twórczym zasięgu rozstrzygają się dziś nie tylko sprawy literatury i sztuki, ale i ważne zagadnienia społeczno-kulturalne a nawet polityczne. Dlatego też z horyzontu naszego życia kulturalnego zniknąć musi typ literackich Bęc-Walskich, ustawicznie narzekających na stosunki w danym środowisku, na osoby, zdarzenia i fakty. Jeśli stosunki są złe, trzeba je naprawiać, ale naprawą nie jest silący się na dowcip felietonik albo złośliwe stwierdzenie faktu, że ktoś czegoś nie zrobił należycie. Ostatecznie za robotę także płacą, nie tylko za pisanie felietonów. W kajeciku ze szkolnych czasów zapisany mam wiersz Boileau, który tu warto przypomnieć: La critique est aisée, et l'art est difficile. Tak, tak.

Wr.

7 starostów i Melpomena

W Jeleniej Górze odbyły się narady starostów siedmiu powiatów nad ustaleniem wyjazdów Teatru Jeleniogórskiego. W rezultacie obrad postanowiono rozpocząć sezon 15-go sierpnia, przy czym teatr ma podczas 15-tu dni w każdym miesiącu wystawić każdą sztukę w 7 miasteczkach.

Jak dotychczas, obywatele starostowie zdali egzamin na celująco. Niepokoi nas tylko dalsze zalecenie, dane Teatrowi Jeleniogórskiemu.

Otóż na obradach stwierdzono a priori, że teatr będzie grał sztuki, odzwierciedlające współczesną rzeczywistość. Jako autorów podano: Moliera, Szekspira, Wyspiańskiego, Zapolską itd.

Po pierwsze: gdzie są te sztuki odzwierciadlające współczesną rzeczywistość? Zliczymy je chyba na palcach jednej ręki.

Po drugie: protestujemy stanowczo aby Molier, Szekspir czy Zapolska mieli cokolwiek wspólnego ze współczesną rzeczywistością.

Po trzecie: cenimy obywateli starostów za ich pozytywny i wyrozumiały stosunek do teatru, wydaje nam się jednak, że nie oni powinni ustalać repertuar teatru. I w ogóle tego nie można załatwić na konferencji 7 powiatów.

L. G.
(Słowo Polskie)

W tym kraju bocian...

(Dokończenie ze strony 3)

— Nie myślałam, że jeszcze będę Polskę widzieć — mówi stara Babcia. A tymczasem w pociągu klują się narzeczeństwa. Młodzież, a także bardziej dziarscy spośród starszych, obiecują sobie pierwszego wieczoru w Polsce urządzić wielki bal, tańce. Dobrze, że ten element z Francji wnosi trochę lekkości.

Ostatni postój. Podróżni, aby nogi rozruszać, skaczą po stokach góry jak kozły. Zrywają nowe ziele i kwiecie dla przyozdobienia wagonów. Zrywają je z południowych stoków tych samych gór, które w Polsce spadają ku północy i wschodowi, a kryją w swym łonie cenne minerały i radioaktywne źródła.

Słońce jak kropla gęstego płynu wsiąka powoli w szczyty gęstych świerków. Pisałem te słowa pod rytm pociągu! nie szukajcie w nich zbyt wiele wiedzy o tych ludziach. Aby ich dobrze poznać, trzeba by spędzić z nimi lata, a nie sześć dni, do których przedłużyła się podróż. Odbyłem tę podróż, żeby poznać prawdę o tych ludziach. Byłoby zarozumialstwem twierdzić, że dużo się przez ten czas można było o nich dowiedzieć, ale jeśli prawda mieszka w pobliżu serca, to się zbliżyłem do prawdy.

Było już bardzo głęboka noc, gdy do uśpionego pociągu po polskiej stronie w Międzylesiu wchodzili polscy oficerowie w rogatywkach, przeliczali wracających i ostrożnie wychodzili z wagonów, żeby nie budzić śpiących.

Jerzy Zagórski

Nagroda Literacka Czytelników „Odry"

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody literackiej „Odry":

Stanisław Helsztyński, Warszawa
Zdzisław Hierowski, Katowice
Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa
Tadeusz Mikulski, Wrocław
Wilhelm Szewczyk, Katowice
Kazimierz Wyka, Kraków
Wojciech Żukrowski, Wrocław

Nagroda przyznana zostanie w przeddzień Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu.

Krótkie spięcia

Prośba o kurs

Jest jedna taka bardzo skromniutka dziedzina twórczości, na którą mało kto zwraca uwagę, ale właśnie ze względu na to, że mało kto na nią zwraca uwagę, rozwija się ona tym bujniej. Dziedziną tą są — afisze. Oczywiście nie afisze takie drukowane i wykonane z mniejszymi lub większymi graficznymi szykanami, lecz afisze — nazwijmy je afiszami sielskimi — które są popełniane ręcznie, a zjawiają się po naszych siołach, czyli po prostu po rozmaitych jak to się mówi bardziej plastycznie — dziurach. Afisz sielski pojawia się zwykle z okazji świąt, uroczystości itp., ale przeważnie jako zapowiedź zabawy tanecznej.

Wówczas ktoś z organizatorów zasiada do stołu i na serdecznym kawale papieru pracowicie stawia litery. Nie zapyta się nikogo przy tym o poradę, mimo że w najbardziej głuchym siole istnieje przecież jakiś sołtys, jakiś nauczyciel, jakiś ksiądz, a nawet jak ich nie ma, to zawsze ktoś, kto umie jako tako czytać i pisać. Nie zapyta się jednak, a wskutek tego potem afisz wygląda tak:

„Halo! Halo!
gdzie zabawa tanieczna?
„Aha"
u Jęcia Alojzego
w Jastrzygowicach
dnia 13 czerwca o godzinie 15
Orchestra FF Bufet na miescu
Zaprasza Obewalelky i Obewatelów
Strasz pożarna
z Jastrzygowic."

To jest normalny przykład wzięty wśród wielu innych. Afisz sielski wisi sobie, ludzie czytają, przejezdni podziwiają, a pożarna „Strasz" straszy. A jak nie straszy „Strasz", to straszy kto inny. Jakieś koło, jakieś towarzystwo, jakiś związek itp.

Dopiero, gdy czasami ktoś miejscowy czy zamiejscowy taki afisz zerwie i wyśle do którejś z redakcji, to później szerszy ogół dowiaduje się o istnieniu tego rodzaju straszliwych potworności.

Tymczasem akcja kulturalno-oświatowa na wsi trwa i wydaje, jak czytamy o tym w prasie, bardzo ładne rezultaty. Ale akcja kulturalno-oświatowa na wsi i dla wsi nie obejmuje niestety dziedziny pisania afiszów. No i stąd potem „Strasz" straszy.

A tymczasem zabawy „taniecznе" i inne historie odbywają się w Jastrzygowicach i w nie Jastrzygowicach, zaś afisze, donoszące o nich są stale pisane i rozklejane.

Co robić?

Możeby tak urządzić jakiś kurs pisania afiszów? Wśród tylu rozmaitych kursów jeden mniej czy jeden więcej nie odegrałby większej roli.

Warto by więc tak o tym pomyśleć...? *Niejaki X.*

RK

Niejednokrotnie już ludzie, którym leży na sercu właściwie pojęte upowszechnianie kultury, zwracali uwagę na smutny objaw — poważnego zaniedbania kulturalnego Ziem Zachodnich. Sprawa ta, przedstawiająca się nie najgorzej w większych miastach (Wrocław, Szczecin, nawet Jelenia Góra), skupiających literatów, muzyków, plastyków, czy wybitniejszych intelektualistów, tragiczny wręcz obrót przybiera po małych osiedlach i wsiach. Nieliczne wizyty literatów, w ramach akcji zainicjowanej przez Spółdz. Wyd. „Czytelnik" — „Autorzy wśród czytelników", nie wiele istniejącą sytuację poprawiły.

Środków zaradczych, które by stan ten mogły zmienić, znalazłoby się wiele: poruszana już na Zjeździe Literatów w ub. r. we Wrocławiu pewna decentralizacja literatów, z ośrodków takich jak Kraków czy Warszawa, z równoczesnym skierowaniem ich do małych miasteczek i wsi zachodnich; zakładanie bibliotek gromadzkich w większym niż dotychczas stopniu; przyspieszenie radiofonizacji wsi; wzmożenie akcji kin objazdowych z dobrymi filmami, w pierwszym rzędzie oświatowymi, które by w miejscowościach nie posiadających odpowiednich sal zastąpiły jednocześnie teatr; rozwinięcie kolportażu wiejskiego gazet i periodyków („Czytelnik" powoli zabiera się do tego); wreszcie roztoczenie fachowej opieki nad wszelkiego rodzaju artystycznymi kółkami amatorskimi, powstającymi często po wsiach z potrzeby wyżycia się artystycznego.

Prawda, są to projekty raczej długofalowe, które jednak w planie upowszechniania kultury winny być stopniowo realizowane.

Tymczasem zaś Wojewódzki Komitet PPR w Katowicach rzucił myśl, myśl ciekawą, ze wszech miar godną uznania — bezpłatnego rozdawnictwa książek dla Opolszczyzny. Podjęła ją Okręgowa Komisja Związków Zawodowych i Związek Zawodowy Literatów Polskich i postanowiono corocznie, w dniu święta Odrodzenia, większą ilość wartościowych książek rozdać w formie daru od śląskiego świata pracy mieszkańcom Ziem Opolskich. Akcją tą głównie objęci mieli być autochtoni i to bez względu na przynależność partyjną.

Utworzył się Komitet Rozdawnictwa Książek dla Opolszczyzny. Stanęli na jego czele literaci śląscy G. Morcinek i W. Szewczyk, a nadto kurator Okręgu Szkolnego — Jerzy Berek. Popłynęły fundusze udzielone przez wojewodę, zjednoczenia przemysłowe, O. K. Z. Z., zebrane z wolnych datków. Spółdzielnia wydawnicza „Ognisko" ofiarowała nadto większą ilość książek, wartości 250 tys. zł. W efekcie, na 14 powiatów Ziemi Opolskiej przypadło ogółem 15.000 tomów. Sam moment wręczania książek, opatrzonych zresztą piękną dedykacją: „Braciom i siostrom ze Śląska Opolskiego, w rocznicę Manifestu Lipcowego, podarunek od świata pracy", miał odbyć się niezwykle uroczyście, w ramach obchodu „Święta Odrodzenia". Wójtowie poszczególnych gmin otrzymali polecenie sporządzenia odpowiedniego rozdzielnika. Polskie Radio na ten dzień wysłać miało specjalny wóz transmisyjny, aby ważny ten moment przekazać urbi et orbi.

Akcja RK w roku bieżącym odbyła się po raz pierwszy. To też w praktyce widoczne były pewne niedociągnięcia, których będzie już można uniknąć w roku przyszłym. I tak w jednej z wsi opolskich, zamieszkałej w większości przez autochtonów, organizacja samego aktu wręczania książek, który winien na długie lata wryć się w pamięć miejscowej ludności, nieco szwankowała. Z pośród 50, mających być obdarowanych, (nie zawiadomionych zresztą o tym), kilkunastu nie stawiło się wcale. Książki, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla autochtonów, otrzymali, według uznania wójta, m. in. miejscowi działacze, przybyli tu w 1946 r. z centralnej Polski, poza tym nie wiedzieć dlaczego wybitniejsi goście z Katowic i Opola, obecni na uroczystości. Można by także kwestionować fakt, dlaczego książkami, przydzielonymi wyłącznie dla dorosłych, obdzielono także młodzież szkolną (dla nich przecież O. K. Z. Z. przygotowuje podobną akcję na wrzesień br.!). Zawiedli także literaci, którzy winni byli przybyć na wspomniane uroczystości z krótkimi gawędami o książce, lub z porankami autorskimi.

Ale w innej wsi, w której byliśmy, gdzie troskliwy wójt lepiej pojął sens prowadzonej akcji, darowane książki trafiały do właściwych rąk, wywołując szczerą radość u obdarowanych.

*

Z błędów, jakie w terenie popełniono przy inauguracji rozdawnictwa, można jedynie i trzeba wyciągnąć odpowiednie wnioski, które oby uwzględnione zostały przy następnych tego rodzaju akcjach. Spróbujemy je określić w kilku punktach:

1) *Rozdzielnik, sporządzony przez wójtów, winien w przyszłości zawierać odpowiednie uzasadnienie wyboru i być koniecznie zatwierdzany przez Komitet Rozdawnictwa.*
2) *Rozdawnictwa winni dokonywać ludzie kompetentni, najlepiej członkowie Komitetu, o nazwiskach znanych ogółowi.*
3) *Na początek, dla zachęcenia obdarowanych, przydzielać by należało książki wartościowe, jednak o charakterze lżejszym (beletrystyka), a unikać raczej nowoczesnej poezji i dzieł o ciężkiej problematyce.*

Sama akcja RK zasługuje na żywe poparcie. Dobra była myśl Komitetu Wojewódzkiego PPR. Pochwała należy się także OKZZ w Katowicach, która zajęła się techniczną stroną akcji, a więc zebrania funduszów i wysyłki książek w teren. Książka prywatna polska zajmie na półkach domowych miejsce książki niemieckiej. Stanie się własnością i przyjacielem domu. A o to przecież chodziło. *Irena Bednarek.*

Młodzi poeci wrocławscy

Leszek Goliński, współautor zbioru poezji „Odra szumi po polsku", stały współpracownik naszego pisma, felietonista „Słowa polskiego"

Elżbieta Milanczówna, której nowe wiersze zamieściliśmy na łamach „Odry"

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już numer 6 „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

Lewica socjalistyczna w walce o jedność, postęp i pokój.
O. L. Po międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Warszawie.
Lange O. Przez demokrację ludową do socjalizmu.
Basso L. O jedność klasy robotn.
Stibbe P. Zadania francuskiej klasy robotniczej.
Jacobsson S. Słuszna droga.
Arski S. Założenia ideologiczne zjednoczonej partii.
Jabłoński H. Wielkie błędy wielkiego trybuna.
Mulak J. Z dziejów myśli programowej PPS.
Rybicki M. Samorząd terytorialny Polski Ludowej na nowych drogach.
Kaduszkiewicz A. Plan Marshalla a Niemcy zachodnie.

Kartki z historii socjalizmu

Krygierowa St. Stosunek SPD do PPS zboru pruskiego.
Rudnicki W. Bruno Buozzi.

NA HORYZONCIE

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Z morzami.

Idee — Myśli — Zagadnienia

Sokołowski K. Problemy rolnicze.
Anhalt M. Granice kapitalistycznej techniki wytwarzania.
Elczewski M. O aktywizację partii na odcinku gospodarczym.
Wojciechowski K. Działalność kulturalno-oświatowa wśród dorosłych.

Z życia Partii

Notatnik referenta

Cena numeru zł 40.—

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08.
R 18205